

Przed II Zjazdem ZSMP

WARSZAWA (PAP) — Za 10 dni — 28 kwietnia br. rozpocznie się w Warszawie II Krajowy Zjazd Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, w którym weźmie udział ok. 1700 delegatów reprezentujących blisko 3 mln rzeszę jego członków. Tygodnie poprzedzające Zjazd przyniosą różnorodne przykłady wzmożonej aktywności młodzieży pracującej miast i wsi — zarówno w dyskusji nad dorobkiem i programem pracy organizacji na następne lata, jak i w pracy zawodowej oraz społecznej. Trwa m. in. młodzieżowa „Wiosna Czynów” związana z porządkowaniem miast, wsi i osiedli, pomocą rolnictwu, zbiórka ziarna i makułatury, ochroną naturalnego środowiska.

Dni Kultury Radzieckiej w Polsce

Delegacja ZSRR z wizytą w naszym kraju

WARSZAWA (PAP) — 17 bm. przybyła do Warszawy radziecka delegacja na rozpoczynające się 18 bm. „Dni Kultury Radzieckiej w Polsce”.

W skład delegacji wchodzi: Wasilij Kucharski — zastępca ministra Kultury ZSRR; Georgij Markow — członek KC KPZR, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR; I sekretarz Związku Pisarzy ZSRR; Jonas Bielins — minister Kultury Litewskiej SRR, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR; Nikołaj Ponomarew — ludowy artysta ZSRR, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, członek rzeczywisty Akademii Sztuk Pięknych, przewodniczący Zarządu Związku Plastyków ZSRR; Wasilij Slastienko — zastępca przewodniczącego Państwowego Komitetu ZSRR ds. Wydawnictw, Poligrafii i Księgarstwa; Georgij Towstonożow — ludowy artysta ZSRR, główny reżyser Państwowego Akademickiego Teatru im. M. Gorkiego w Leningradzie; Olga Kusenka — ludowa artystka ZSRR, przewodnicząca

Stowarzyszenia Teatralnego Ukrainy, aktorka Teatru im. Franki.

Na lotnisku Okęcie przedstawiciele radzieckiej kultury serdecznie powitali: kierownik Wydziału Kultury KC PZPR — Bogdan Gawronski, minister Kultury i Sztuki — Zygmunt Najdowski, przedstawiciele władz stołecznych oraz reprezentanci zarządów głównych związków i stowarzyszeń twórczych. Obecni byli przedstawiciele ambasady ZSRR — radca — minister Wasilij Swirin i attache kulturalny — Oleg Brikini.

Jeszcze jedno spojrzenie na dzisiejszy Białystok
Fot. R. Sienko — CAF



Publiczna WSPÓŁCZESNOŚCI

Fragment pracy nr 105.
Autorem jej jest pracownik naukowy.

1
Ciąży mi prozajkaństwo. Czuję się zmęczony. Ostatnio źle śpiam. A tu przede mną rekrutacja na studia. Mam już wiele interwencji protekcyjnych. Rodzice studentów zadziwiają swymi...

2
Kiedys zwraca się do mnie znajomy dyrektor z prośbą o...

torli gospodarczej, ale wcześniej ma trudności z zaliczeniem ćwiczeń z matematyki. Z tym przedmiotem ostatecznie daje sobie radę, jednak nie zdaje historii. Rodzice proszą o interwencję. Nie mogę, nie mam takich uprawnień, tym bardziej, że nie zdaje też geografii. Powinien więc być skreślony z listy studentów. Nie dochodzi jednak do tego, bo „pechowiec”

Plenum KW PZPR w Białymstoku

Ochrona zdrowia ludzi pracy i ich rodzin

Poprawie stanu zdrowia mieszkańców Białostocczyzny, rozwojowi oraz doskonaleniu służby zdrowia i opieki społecznej, poświęcone było plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Białymstoku, które obradowało w czwartek, 17 bm. Wzięli w nim udział: kierownik Wydziału Administracyjnego KC PZPR — TEODOR PALIMAKA oraz minister Zdrowia i Opieki Społecznej — MARIAN ŚLIWINSKI.

Przybyli także, zaproszeni na obrady, wybitni specjaliści różnych dziedzin nauk medycznych, dyrektorzy instytutów i kierownicy klinik AMB, ordynatorzy oddziałów szpitalnych, lekarze pracujący w przychodniach specjalistycznych, ośrodkach rejonowych i gminnych, organizatorzy służby zdrowia a także sekretarze POP w placówkach leczniczych.

Otwierając plenarne posiedzenie, I sekretarz KW PZPR — Władysław Juszkiewicz podkreślił, iż podjęcie przez wojewódzką instancję partyjną jednego z zasadniczych problemów społecznych, jakim jest ochrona zdrowia ludzi pracy i ich rodzin, jest wynikiem konsekwentnej realizacji uchwał VIII Zjazdu PZPR i programu XVII Wojewódzkiej Konferencji Spra-

wozdawczo-Wyborczej. Obrady tego plenum poprzedzone zostały dyskusjami w różnych środowiskach zawodowych i społecznych, a także placówkach leczniczych, dotyczącymi zagadnień związanych z dalszym doskonaleniem pracy służby zdrowia i opieki społecznej. Uwagi i wnioski dyskusyjantów w znacznej mierze wzbogaciły materiały przedłożone na plenum.

Referat wygłosiła sekretarz KW PZPR — Halina Piotrowska-Olczak, zaś w dyskusji zabrali głos: prof. dr Konstanty Wisniewski, Jan Wojciuk, dr Elżbieta Dolinska-Musiato-wicz, dr Lucjan Ostrowski, prof. dr Ewa Szymaniak, dr Marian Panek, doc. dr Franciszek Taraszkiewicz, dr Mieczysław Podedworny, Anna

Ciąg dalszy na str. 2

W wiosennym słońcu...

CAF — Maciej Kłos



Zygmunt Narski

Nie dla pieniędzy

ją pomysłowością. Najpierw dowiadują się, kto może na mnie wpłynąć. Często chodzi o telefon do mnie, o parę ciepłych słów. Potencjał, że ich dzieci to dorośli ludzie, więc nie naciskają. Słyszeli, że mam jakieś trudności. Oni chętnie załatwiają, mają znajomych w ministerstwie, w partii, mają doświadczenie z zjednoczenia. Bylibym tylko zechciał, oni załatwiają. Bo przecież takie dziś czasy; pełne życzliwości i wzajemnej pomocy.

Thumacze przyjaźniom, że na egzaminie wstępnym na studia nie mogę pomóc. Przecież wszystko jest anouimowe, zakodowane, co najwyżej wchodzi w rachubę egzaminu. Oni na to, że mogę zrobić wszystko. Dziwne. U wielu ludzi nie liczy się prawo, przepisy, dobre obyczaje, a tylko prywatna, własna inte-

przedstawia zaświadczenie od psychiatry, ktoś dzwoni z ministerstwa, aby nie czynić trudności. Zostaje więc dopuszczony do sesji poprawkowej.

Zal mi tego chłopca. Winę ponoszą tu rodzice, którzy go prostu źle go wychowali, zapewniając mu luksusowy tryb życia, pieniądze, które on bez trudu wydaje. Nie uczą go nawyku do pracy. Chłopiec wyrasta w atmosferze, że ta- ta może wszystko. Więc po co się uczyć. Rodzice ochraniają go przed najmniejszymi trudnościami. Na wszystko mu pozwalają, wszystko mu dają, w myśl zasady wychowania na wzór własnego przeciwnika, to znaczy własnych trudności i biedy. Przecież ojciec pochodzi z ludu. Miał trudną drogę życiową i chce tego oszczędzić synowi.

Ciąg dalszy na str. 4

Ajent w labiryncie

— Nic ja tu nie zatwierdzę — rzuca apodyktycznie elegancki młody człowiek nie przerywając wertowania papierów.
— Jestem waszym agentem — ponawia prośbę Józef Paszkiewicz. — Może

coś z tego zamówienia się otrzyma.
— Nic się nie otrzyma — wykrzykuje już niemal kiero-wnik, ale po chwili refleksji skinięciem głowy wskazuje sąsiednie biurko.
— Tu ta pani powie, co się otrzyma.

Pokój działu obrotu artykułami różnymi hurtowni WSS „Społem” przy ul. Skłodowskiej, choć duży, zastawiony ciasno biurkami. Zamówienie wchodzi w wskazane przez kierownika miejsc. Jedno skreślenie, drugie, trzecie...

— Przecież te wszystkie artykuły w hurtowni aktualnie są — próbuje nieśmiało protestować Paszkiewicz.

— A to ważne, czy są, czy nie ma? I tak pan nie otrzyma. Na Rynek Kościuszki proszę, do pani Leszczyńskiej, po przydział.

Tymczasem zamówienie wchodzi na inne biurko. Kolejne skreślenia. Z kilkunastu zamówionych pozycji (a były tam m. in. kawa, cukierki czekoladowe, kakao, esencje do ciast, przyprawa do zup itp.). Paszkiewicz otrzymuje tylko herbatę i jakieś ciastka.

Zaopatrzenie

sklepów agencyjnych, to z punktu widzenia WSS „Społem”, fragment większej całości. Spróbujmy zatem spojrzeć na całość, byśmy zrozumieć dlaczego Paszkiewicz odszedł z kwitkiem z hurtowni, a my od niego, ze sklepu.

Otóż wszystkie swoje decyzje WSS „Społem” osiadał dobrem i interesem ogółu. Konieczne to pozory, czy rzeczywisty cel? Odpo-

wiedzi nie będzie, i tak każdy wie swoje. Natomiast trwająca w samodzielnym WSS zdaje się nie zauważać, że rzesze wystających w kolejkach w „Centrallu” po herbatę, na Sienkiewicza po cytryny, na Wesołowskiego po paprykę, czy jeszcze gdzieś po coś tam, bo „rzucili” — dalekie są od dzielenia ze „Społem” nastroju sukcesu. Uświadomienie tego WSS „Społem” jest być może frustrujące, ale gdzie jest powiedziane, że handel ma mieć dobre samopoczucie, kiedy sfrustrowani są jego klienci. To już nawet nie jest problem kolejek, ale bezsensownego biegania po mieście. Z tego co zrozumiałem z zawiłych wyjaśnień, na spotkaniu z z-cą dyrektora ds. obrotu towarowego oddziału miejskiego WSS „Społem” w Białymstoku — Janem Chrabolem wynika, że ten specyficzny system niewątpliwie zaopatrywania sklepów, to celowe i głęboko przemyślane działanie. Nie można tak po prostu powiedzieć nie ma, brak. Trzeba to umiejętnie wdrażać. Powoli, systematycznie, inteligentnie. Według „rozdzielnika” — tu trochę, tam

trochę. I musi wyjść, że jest, choć nie ma. Że trudna sytuacja rynkowa? Wszak wszyscy o tym wiedzą. Ludzie — dyrektorzy również — boją się nowych sytuacji. Zbyt drogie są ciepłe fotele, by rzucać je na chwiejną szalę nowatorskich rozwiązań i odpowiedzialnych decyzji.

Ajenci

sobie poradzą. Ajenci mają dużo pieniędzy, bo gonia tylko za zyskiem i dlatego chcieliby handlować jedynie czekoladą i bananami. Poza tym ajenci są utrapieni dla WSS „Społem”, bo ciągle nachodzą i zawracają głowy urzędnikom. A to im się należy sprawiedliwy przydział artykułów, a to im odmówili sprzedaży ryb, a to zmuszają ich znów do przyjęcia jakiegoś barszczu i przecieru ogórkowego. No i ciągle zalegają ze spłatami za pobrane towary. Całe biuro się musi nimi zajmować.

Zjawiska składające się na tę fabulkę zrelacjonowano mi w WSS „Społem” w taki sposób, by dowodziły z góry przyjętej tezy: jak dużo wysiłku i trudu kosztuje „Społem” utrzymanie włas-

ciwego systemu funkcjonowania placówek agencyjnych. Wprowadzenie systemu agencyjnego miało m.in. przynajmniej częściowo spowodować poprawę sytuacji rynkowej, wzbogacić ofertę handlową o artykuły bądź pochodzące z prywatnych źródeł zaopatrzenia, i dlatego niedostępne dla handlu uspołecznionego, bądź wytwarzane przez samego ajenta. Licząc placówek narzucono ogólnie i WSS „Społem” chcąc wykonać ten plan musiała się dobrze nagimnastykować i dużo naobiecywać. Do prowadzenia sklepów branży spożywczej namówiono 21 odważnych. To twórcze ajencji „na siłę” dało okazję nie mającym pojęcia o handlu kanciarzom i oszustom, którzy wykorzystali krótkotrwałą koniunkturę i mówiąc „slangiem handlowym”, zamiast drenować rynki prywatne — wydrenowali WSS. Do dziś prokuratura ma zalecie. Wróćmy jednak do garstki tych, którzy uwierzyli i uczciwie zabrali się do pracy.

Wystarło wali

rażnie i ochoczo. Dla ajentów był to przełom ra-

ju, trzeba bowiem przyznać, że WSS „Społem” obchodziła się z nimi w owym czasie nieporównanie lepiej niż obecnie. Klienci też nie mieli powodów do narzekania. Spędyli się pochlebne opinie. Pewna pani, notabene z kierownictwa WSS, zaopatrująca się u ajenta, określiła jego sklep jako niemal „Delikatesy”. Ustępstwa, ulgi, brak kontroli, terminy płatności za pobrane towary 3-dniowe, 5-dniowe, po ustnym porozumieniu 10-dniowe (?) To nic, że zalegają z pieniędzmi. Dać im co jest najlepszego żeby tylko się nie zniechęcili.

I już w tym momencie wyłano dziecko z kąpiela — skierowano ajentów na niewłaściwą drogę. Wprowadzono ich w iluzoryczny, komfortowy świat pozorów. Dlaczego od razu nie postawiono ich przed rzeczywistością, twardą ramą wymagań i oczekiwań? Mogliby wtedy

Ciąg dalszy na str. 4

W ciągu 33-letniej działalności, zapoczątkowanej jeszcze na gruzach zniszczonych wojną miast, BIAŁOSTOCKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA PRZEMYSŁOWEGO odbudowało i zbudowało seki zakładów przemysłowych i komunalnych, domów mieszkalnych, szkół, ośrodków zdrowia i innych obiektów użytkowości społecznej.

Również w tym roku załoga „PRZEMYSŁÓWKI” powiększy swój i ogólnonarodowy dorobek o nowe ważne obiekty. Kilka dni temu przekazała do użytku dużą ikalnie FABRYKI DYWANÓW w BIAŁYMSTOKU, a w następnych miesiącach i kwartałach odda między innymi ZAKŁAD MŁECZARSKI w GRAJEWIE, FABRYKĘ DOMÓW w ŁÓŻY, CIEPŁOWNIĘ MIEJSKĄ w SUWAŁKACH, ostatnie budynki „HORTEXU” w SIEMIATYCZACH, spółdzielczy zakład usługowy w BIAŁYMSTOKU.

A jednak tegoroczne zadania — co dało się odczuć na KSR uchwalającej plan — nie są łatwiejsze niż w minionych. Chociaż są to zadania wysokie i z różnych względów niełatwe, to niestety nie są to zadania wielkości i takiej struktury, na którą stała wyspecjalizowana, posiadająca odpowiedni sprzęt, załoga.

Podobnie jak w roku ubiegłym, także w bieżącym nastąpiło w narodowym planie społeczno-gospodarczym przegrupowanie sił i środków na korzyść budownictwa mieszkaniowego, przy jednoczesnym zmniejszeniu zadań w budownictwie przemysłowym. Zmniejszenie nakładów na budownictwo przemysłowe spowodowało zmniejszenie planu produkcyjnego przedsiębiorstwa. I tak, gdy w roku 1978 produkcja ogólna wyniosła 1.061 mln złotych, a podstawowa 802 mln, w roku minionym 899 i 631 mln złotych, to w tym roku sięga 860 i 524 mln złotych. Konsekwencją tego jest ograniczenie stanu zatrudnienia o ponad 600 osób i przełożenie na dalsze lata terminów realizacji kilku dużych i ważnych zadań.

W tej sytuacji mogą rodzić się wątpliwości i uwagi. Po pierwsze — argumentuje się — premier w swoim ekspozycie powiedział, że sprawa wielkiej wagi jest poprawa na froncie inwestycyjnym. Stwierdzając, że mamy zbyt dużo rozpoczętych zadań inwestycyjnych w stosunku do obecnych możliwości gospodarki, że wysoki jest poziom zamrożenia środków inwestycyjnych i że realizację niektórych inwestycji trzeba było wstrzymać, podkreślił zarazem, iż wiele zadań inwestycyjnych wykonujemy z opóźnieniem i należy dokonać tego co zostało rozpoczęte.

Po drugie, gdy chodzi o budownictwo mieszkaniowe w naszych województwach, to nie wzrosło, lecz spadło poniżej możliwości przedsiębiorstw wykonawczych. W takim razie po co angażuje się przedsiębiorstwo budownictwa przemysłowego?

Na pewno w argumentacji jest sporo racji. Wiadomo bowiem, jak dużym, wieloletnim wysiłkiem dochodziła „Przemysłówka” do mocy produkcyjnych uzyskanych 14 lat temu. Spadek produkcji spowodował zaś różne perturbacje i wzrost kosztów. Obojętne bowiem czy się buduje za 100 czy za 10 mln złotych, trzeba utrzymać plac budowy, a na nim kierownictwo robót.

Gdyby jeszcze wraz ze zmniejszeniem produkcji zmniejszyła się ilość zadań... Tymczasem — wprost przeciwnie — wzrosła. Jeśli w 1978 roku przedsiębiorstwo prowadziło roboty na 22 placach to obecnie realizuje je na 50. Przybyły zadania drobne w postaci domów mieszkalnych i obiektów to-

warzyszących, także na Śląsku, gdzie zwiększonym kosztem (transport ludzi i materiałów) buduje się 35 stacji surowych.

Tak duża ilość czynnych placów budowy — mówi się w przedsiębiorstwie — prowadzi z zasady do mniejszego wykorzystania potencjału produkcyjnego i siły roboczej, a zatem do spadku wydajności pracy oraz zwiększa koszty ogólne w końcowym efekcie realizacji zadania.

Czy więc — ponawia się pytanie — w sytuacji północno-wschodniego regionu, wciąż dochodzącego do średniej krajowej, uzasadnione jest takie zwolnienie tempa? Związane, że już zbyt długo realizowane nowe obiekty mają produkować na potrzeby rynku. I

gdy tyle pieniędzy i trudu włożono w ich budowę?

Oto Fabryka Mebli w Suwałkach, na której wartość robót budowlano-montażowych określono na 600 mln złotych. Dotychczas „przerobiono” 374 mln. Fabryka miała być przekazana do eksploatacji w końcu roku 1978, teraz mówi się o grudniu 1982 roku. Lecz i ten termin jest wielce wątpliwy skoro w tym roku „przerobi” zaledwie 20 mln. Tymczasem w halach fabrycznych leżą zmagazynowane, importowane maszyny wartości setek milionów złotych, a — z drugiej strony — ludzie uganiają się po sklepach w poszukiwaniu mebli.

Fabryka Dywanów w Białymstoku. Wartość robót budowlano-montażowych

1.025 mln złotych, wykonano za ponad 650 mln. Limit na rok bieżący wynosi 86 mln złotych. Fabryka miała być oddana do użytku w październiku 1978 roku, dziś mówi się o listopadzie 1982 roku. Na szczęście — dzięki operatywności dyrekcji — tkalinia podjęła produkcję.

Fabryka Wyrobów Runowych „Biruna” w Białymstoku. Wartość robót budowlano-montażowych 815 mln złotych, wykonano za 57 mln. Fabryka miała być oddana do użytku w kwietniu 1978 roku, a będzie przekazana w grudniu 1984 roku. Tylko czy będzie, jeśli w tym roku limit na roboty wynosi... 10 mln złotych?

Rzeźnia drobiu w Suwałkach. Wartość robót 453 mln złotych, wykonano za 80 mln. Zakład miał być oddany na jesieni bieżącego roku, a teraz mówi się o wrześniu 1983 roku. Lecz tylko mówi, gdyż tegoroczny limit wynosi... 10 mln złotych.

Zakład Mleczarski w Suwałkach. Gigant o dobowym przerobie 1 mln litrów mleka. Wartość robót budowlano-montażowych 597 mln złotych, wykonano za około 100 mln. Zakład miał być oddany w połowie przyszłego roku, a będzie na jesieni 1983 roku. Lecz czy będzie, gdyż w tym roku wykonano prace na sumę 22,6 mln złotych?

Zakład Mleczarski w Wysockim Mazowieckim. Wartość robót 223 mln złotych, wykonano za 16 mln. Inwestycja miała być przekazana w sierpniu 1981 roku, a będzie we wrześniu 1983 roku. W co jednak też można wątpić zwążywszy na tempo robót. W tym roku limit przerobu wynosi 10 mln złotych.

Są to — powtórzmy — ważne dla województwa i kraju inwestycje. Chociaż zależy jak dla kogo, bo na przykład dla pracujących w trudnych warunkach załóg Zakładu Elektrotechniki Motoryzacyjnej w Elku najważniejsza jest historyczna już budowa jej nowego zakładu.

Zarówno wykonawcy, jak i inwestorzy podają dane o przebiegu realizacji inwestycji oraz fakty obrazujące ujemne konsekwencje przekładania terminów. Jednakże bez komentarzy. Oczywiście, temat trudny, rzecz można — ogólnie, nie nie wywołuje, a narazić się możesz. Do tego, ten modny zarzut o partykularyzm.

Rzeczywiście problem jest wyjątkowo trudny, uwarunkowany sytuacją gospodarczą kraju. Czy jednak dlatego nie należy go porzucić, zastanawiać się jak go złagodzić, rozwiązywać przez wybór priorytetów, ustalenie hierarchii ważności zadań społeczno-gospodarczych w skali danego województwa, a z korzyścią dla całego kraju?

Wiadomo, że rozdział środków finansowych dokonany jest przez resorty, które z kolei dzielą je na województwa i przedsiębiorstwa. I taka jest prawidłowość w systemie planowania państwa. Jednakże — jak wykazują doświadczenia — w wyniku okrojonego budżetu państwa, a także funduszu inwestycyjnego, a zatem skromniejszych przydziałów na poszczególne resorty, następuje jego rozdrobnienie. W konsekwencji trudno wybrać najbardziej opłacalny dla gospodarki wariant.

Premier Edward Babiuch powiedział: dokonamy to co zostało rozpoczęte. Czy zatem nie słuszna rzecz byłoby — zamiast rozdrobnienia środków i przedłużania realizacji setek obiektów — wytypować inwestycje pierwszej kolejności i doprowadzić je do eksploatacji? A może warto skupić fundusze na inwestowanie w kontynuowane obiekty w jednych rękach? Może niech władze wojewódzkie zaproponują władzom centralnym, który zakład należy oddać w tym roku, a które w przyszłym i następnych latach?

Sprawa jest trudna, ale warta rozważenia. W interesie gospodarki. Lepiej ograć się skupić środki i siły na jednym zadaniu i szybko je zrealizować niż poprzestawać na skromnych funduszach zamrażać je wraz z tymi już wydakowanymi. Większe korzyści przyniesie uruchomienie produkcji w jednym zakładzie, aniżeli kontynuowanie kilku bez pewnych terminów ich zakończenia.

Uporządkowanie procesu inwestycyjnego wpłynie także na efektywniejsze wykorzystanie potencjału przedsiębiorstw wykonawczych, zwłaszcza specjalistycznych. Odmrożenie zostaną nagromadzone zapasy materiałów i prefabrykatów oraz rezerwy w postaci zakładowej obecnie organizacji i wydajności pracy.

Jakoś wtedy pojawiła się w Długoborzu kobieta, ma mocno tlenione włosy, ale zmarszczone czoło, nie jest młoda. Biała — tak ją wsi nazwano. Nikt dokładnie nie wie, skąd się przyczepiła i po co. Wjechała od Jacekowskiej chacie, w której była kiedyś kuchnia. Najpierw zjadła wódka. Mężczyźni z Długoborza przesiadywali w jej mieszkaniu — całe noce przy butelce, młody Jabecki był tam najczęściej i najspokojniej wychodził. Niedobre działo się we wsi. Kobiety groziły, że podpalą kuznię, a Białą wygonią. Nie wiadomo, czym by się wszystko skończyło. Ktoś złożył meldunek na milicję. Mężczyźni przestali chodzić do kuzni, jeden Jabecki nie.

Któregoś grudnia przed czterema laty Jabecki wrócił po południu z Zambrowa i zastał dom zamknięty. Szukał syna, podrapał do kuzni. To ludzie widzieli. Co się działo z nim przez następne parę godzin, nie wie. Wieczorem Jacek znalazł w śniegu przy drodze człowieka. Stary Jabecki leżał nieprzytomny, zakrwawiony. Wezwano pogotowie. Dwa tygodnie przebywał Jabecki w szpitalu — miał złamaną

Sprawy rodzinne w Długoborzu

Jak to sołtys mówił o Jabeckim? — Był kiedyś człowiekiem, którego poważnie wsi uważano i szanowano.

Jeszcze przed wojną ukończył liceum handlowe. Ze szkoły wyniósł wiedzę, a Ameryka, gdzie przez parę lat zarabował, dała mu światową ogłódę i trochę pieniędzy. Mówiono, że może zrobić karierę, wybuchła jednak wojna i nie zdążył wykorzystać swoich atutów. Po wywołaniu zaczął pracować w Urzędzie Gminy w Długoborzu i tam doznał emerytury. Za solidność w pracy cieszył się uznaniem zwierzchników, otaczała go też sympatia mieszkańców wsi, których sprawami interesował się bardziej, niżli wymagały tego od niego obowiązki urzędnika. Nie zapomniał szczególnie eksploatowanego stanowiska. Niemniej również, z którymi w dzieciństwie łączył go wspólny los biednego chłopaka ze wsi, uważał, że się wybił. Był przeciwnie sekretarzem Urzędu.

Nie do poznania zmienił się człowiek — mówił sołtys. — Popatrz pan, co się dzisiaj z nim stało...

Odwiedziłem Jabeckiego w domu i mogłem dokładnie odczytać sens wypowiedzi sołtysa: przede mną siedział stary, nie ogolony człowiek w wytartym na lokciach i kolanach ubraniu. To ubranie sprawiło wrażenie, jakby każda jego część pochodziła z różnych odległych bardzo od siebie czasów. Zwróciłem uwagę na jego ręce — są sińcowe i opuchnięte. Duże jak bochny chleba.

Co się stało? — spytałem.

A tak... musiała się w nocy obsunąć pierzyna i ręce wyszły na mroź... Podczas rozmowy mówiłem głównie ja. On milczał. Jeśli już w ogóle odpowiadał na moje pytania, to urywającymi zdaniem. Wymijając. Powinien cieszyć się, że ktoś zainteresował się jego losem. Starzec patrzył jednak nieruchomo w jakiś punkt za oknem. Na jego twarzy była tylko apatia.

Czy można mu pomóc? — zastanawiał się nad moim pytaniem Jan Arasim, opiekun społeczny z Długoborza. — Owszem, rozmawiałem z nim, mówił. No, wiesz, dobrze mi z tym moim synkiem nie jest, ale co zrobisz, zaszkościł mu ławo, naperować go trudno. No więc co można w jego sprawie zrobić? Żeby nie miał mieszkania, to znalazłoby mu się jakieś lokum. Chybaż przecież ma, rentę dostaje. Właściwie wszystko jest w porządku. Czy opieka społeczna może zmienić jego syna?

To jest, widzi pan, sprawa rodzinna.

Konflikty między ojcem i synem zaczęły się pod koniec lat czterdziestych, kiedy to tylko oni dwaj zostali na gospodarce. — Co, będziesz u ojca za parobka? — podburzał młodego sąsiadki i Jabecki myślał, że to jest właśnie powód kłótni w ich domu. Przepisał gospodarke na syna, ale nic się nie zmieniło. Modemu jakoś nie układało się wówczas — nie lubił gospodarować, więc podupadł. Zatrudnił się jako mechanik w kółku — wylali go. Zapisał swoje porażki i robił ojcu awantury, jakby to on właśnie był winien.

Jakoś wtedy pojawiła się w Długoborzu kobieta, ma mocno tlenione włosy, ale zmarszczone czoło, nie jest młoda. Biała — tak ją wsi nazwano. Nikt dokładnie nie wie, skąd się przyczepiła i po co. Wjechała od Jacekowskiej chacie, w której była kiedyś kuchnia. Najpierw zjadła wódka. Mężczyźni z Długoborza przesiadywali w jej mieszkaniu — całe noce przy butelce, młody Jabecki był tam najczęściej i najspokojniej wychodził. Niedobre działo się we wsi. Kobiety groziły, że podpalą kuznię, a Białą wygonią. Nie wiadomo, czym by się wszystko skończyło. Ktoś złożył meldunek na milicję. Mężczyźni przestali chodzić do kuzni, jeden Jabecki nie.

Któregoś grudnia przed czterema laty Jabecki wrócił po południu z Zambrowa i zastał dom zamknięty. Szukał syna, podrapał do kuzni. To ludzie widzieli. Co się działo z nim przez następne parę godzin, nie wie. Wieczorem Jacek znalazł w śniegu przy drodze człowieka. Stary Jabecki leżał nieprzytomny, zakrwawiony. Wezwano pogotowie. Dwa tygodnie przebywał Jabecki w szpitalu — miał złamaną

ANDRZEJ RÓŻAŃSKI
P.S. Ostatnio Prokuratura w Zambrowie wytoczyła przeciwko Jabeckiemu sprawę o znęcanie się nad ojcem.

Zwolnienie warunkowe



Fabryka Wyrobów Runowych miała być oddana do użytku w kwietniu 1978 r., a będzie przekazana w grudniu 1984 r. Fot. Z. Lenkiewicz

RYSZARD KLIMASZEWSKI

ŚLADEM PUBLIKACJI

Z Centralnej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych otrzymaliśmy niedawno list w odpowiedzi na jedną z naszych publikacji poświęconych problemom kolei. Ponieważ list CDOKP jest dość obszerny drukujemy tylko te jego fragmenty, które w sposób istotny polemizują z zawartymi w artykule twierdzeniami.

„Po zapoznaniu się z treścią 2-częściowego artykułu publicystycznego Jacka Ratajczaka pt. „Gorączka na szynach”, w dniu 25 lutego 1980 r. Centralna DOKP stwierdza, że zamieszczone w „Gazecie Współczesnej” krytyczne spostrzeżenia autora o pracy kolei na terenie DRPK Białystok są w zasadzie trafne.

Twierdzenie jednak o zatrzymaniu reorganizacji PKP, o tym, że DRPK miały zastąpić Okręgi nie jest prawdziwe. Rejonny k.p. powołano bowiem w miejsce dawnych oddziałów służb. Reforma ta miała dostosować organizację kolei do organizacji administracyjnej Państwa oraz stworzyć warunki dla większej integracji służb kolejowych.

Zgadając się z większością uwag autora musimy jednak stwierdzić, że kolej nie jest przedsiębiorstwem wyizolowanym, czy samowystarczalnym, lecz pracuje w określonych warunkach zarówno technicznych, jak i społecznych. Stąd

wiele z tych krytycznych uwag mając ogólniejsze podłoże może dotyczyć również i innych gałęzi gospodarki, a uścisnąć ich przyczyn leży często poza zasięgiem możliwości nie tylko Dyrekcji Rejonowej Kolei Państwowych ale i Dyrekcji Okręgowej, a nawet Ministerstwa Komunikacji. Niemniej jednak postaramy się uściłowić do poruszonych zagadnień, szczególnie tych, które leżą w gestii Centralnej DOKP.

Kolej świadczy usługi transportowe m. in. dla przemysłu, jest jak twierdzi niektórzy „nerwem gospodarki narodowej”, lecz na zasadzie sprzężenia zwrotnego korzysta również z wyrobów tego przemysłu. Kolej, by móc dobrze pracować musi posiadać przede wszystkim niezawodną infrastrukturę i tabor oraz warunki do ich utrzymania. W praktyce jednak, jak stąd wynika, autor artykułu, w tym zakresie występuje wiele faktów i niedostatków. Do nich można zaliczyć:

- dużą zawodność w pracy niektórych serii lokomotyw spalinowych, głównie SP-45 i SU-46 produkcji Zakładów Cegielskiego i dalsze tego następstwa, między innymi konieczność zastępowania w pracy pociągowej lokomotyw

- zła jakość i niska kaloryczność węgla,
- brak narzędzi w wagonowni,
- zła jakości młoty do czyszczenia rozjazdów torowych w zimie,
- zła jakości buty dla pracowników.

- Tego rodzaju trudności mogą występować i występują, lecz nie należy ich generalizować, jak i dyrekcji rejonowej, jak i dyrekcji wojewódzkiej.
- Łączymy wyrazy szacunku. Naczelnik Dyrekcji mgr inż. Zdzisław Cwikla
- „W związku z opublikowaniem w „GW” w m-cu styczniu br. artykułu pt. „Gorączka na szynach” pragnę w imieniu wielu Czytelników — kolejarzy serdecznie podziękować Szanownej Redakcji oraz redaktorowi Jackowi Ratajczakowi za tak bezpośrednie, bezstronne i jasne przedstawienie obrazu istniejącego w obecnej dobie na PKP. Szkoda tylko, że tego początkowy artykuł nie ma możliwości prze-

- zła jakość i niska kaloryczność węgla,
- brak narzędzi w wagonowni,
- zła jakości młoty do czyszczenia rozjazdów torowych w zimie,
- zła jakości buty dla pracowników.

- Tego rodzaju trudności mogą występować i występują, lecz nie należy ich generalizować, jak i dyrekcji rejonowej, jak i dyrekcji wojewódzkiej.
- Łączymy wyrazy szacunku. Naczelnik Dyrekcji mgr inż. Zdzisław Cwikla
- „W związku z opublikowaniem w „GW” w m-cu styczniu br. artykułu pt. „Gorączka na szynach” pragnę w imieniu wielu Czytelników — kolejarzy serdecznie podziękować Szanownej Redakcji oraz redaktorowi Jackowi Ratajczakowi za tak bezpośrednie, bezstronne i jasne przedstawienie obrazu istniejącego w obecnej dobie na PKP. Szkoda tylko, że tego początkowy artykuł nie ma możliwości prze-

- zła jakość i niska kaloryczność węgla,
- brak narzędzi w wagonowni,
- zła jakości młoty do czyszczenia rozjazdów torowych w zimie,
- zła jakości buty dla pracowników.

- zła jakość i niska kaloryczność węgla,
- brak narzędzi w wagonowni,
- zła jakości młoty do czyszczenia rozjazdów torowych w zimie,
- zła jakości buty dla pracowników.

- Tego rodzaju trudności mogą występować i występują, lecz nie należy ich generalizować, jak i dyrekcji rejonowej, jak i dyrekcji wojewódzkiej.
- Łączymy wyrazy szacunku. Naczelnik Dyrekcji mgr inż. Zdzisław Cwikla
- „W związku z opublikowaniem w „GW” w m-cu styczniu br. artykułu pt. „Gorączka na szynach” pragnę w imieniu wielu Czytelników — kolejarzy serdecznie podziękować Szanownej Redakcji oraz redaktorowi Jackowi Ratajczakowi za tak bezpośrednie, bezstronne i jasne przedstawienie obrazu istniejącego w obecnej dobie na PKP. Szkoda tylko, że tego początkowy artykuł nie ma możliwości prze-

- zła jakość i niska kaloryczność węgla,
- brak narzędzi w wagonowni,
- zła jakości młoty do czyszczenia rozjazdów torowych w zimie,
- zła jakości buty dla pracowników.

czytać całą armia kolejarzy z całej Polski.

Do tego co już było opisane mogę tylko dodać, że PKP w okresie międzywojennym służyły na cały świat z dyscypliną, z taboru kolejowego, zwłaszcza z lokomotyw i wagonów osobowych kolejowych i regularności biegu pociągów pasażerskich. Mundur kolejowy przez brat kolejarz był noszony z dumą i satysfakcją. W mundurach kolejowych zjawiali się kolejarze nawet na bale. Jestem emerytowanym kolejarzem i przeżywałem te świetne czasy i ze smutkiem mam prawo przypuszczać, że PKP do tego triumfu nie powróci.

Z poważaniem
A. Kowman

OD AUTORA:

PO PIERWSZE. Owszem, 32 dyrekcje rejonowe powołano w miejsce dawnych 172 oddziałów służb, ale tak jak ja, tak i autorzy przytoczonego listu wiedzą, że był to tylko jeden z etapów realizacji

wanych w artykule niedostatków.

PO TRZECIE. Jeśli zawodność pracy niektórych serii lokomotyw spalinowych, określone braki części zamiennych, zła ich jakość, brak szyn i siedem dalszych grup niedostatków pierwszego rzędu „nie decyduje o jakości i wynikach pracy kolei” — jak sugeruje pismo CDOKP — to chciałbym zapytać, co wreszcie decyduje? Fatum? W tym samym reżymie pismo stwierdza: „Kolej, by móc dobrze pracować, musi posiadać przede wszystkim niezawodną infrastrukturę i tabor, oraz warunki do ich utrzymania”. Które z tych wykluczających się twierdzeń nie twierdził przytaczał obawiając się opinii CDOKP?

PO CZWARTE. W publikacji „Gorączka na szynach” nie napisano, że DRPK Białystok nie wykonuje swych zadań prawozowych. Postawiam tylko pytanie o cenę wysiłku, jakiego wymaga się od kolejarzy białostockiej DRPK (wreszcie od wszystkich kolejarzy), jego koszty ekonomiczne i społeczne. Także koszty ciążące „przeeksplotowania” taboru. Twierdząc nadal, że to one wielokrotnie są wyśmienite i grożą w niedalekiej przyszłości załamaniem nawet tego poziomu usług, na który kolej z wysiłkiem dzisiaj się zdobywa.

JACEK RATAJCZAK

c. d. ze str. 1

realnie ocenić swoje możliwości i decydując się na prowadzenie placówki od początku swoją uwagę skupiłyby głównie na możliwościach zapożyczenia ze źródeł pozapolekowych, przy czym warunkiem koniecznym byłby tu sprawiedliwy udział artykułów dostępnych jedynie przy pomocy WSS. Wszak taka właśnie myśl przyświecała podjęciu uchwały.

Prosperity agentów trwało cztery miesiące. Później WSS jakby oziębia w uczuciach. Powoli zaczęło im ograniczać dostęp do magazynów przedsiębiorstwa. Doszło do sytuacji absurdu. Agent nie zawsze otrzymywał z WSS artykuły z niezbędnym minimum asortymentowym, to znaczy takie, które WSS „Spolem” kazała mu w sklepie mieć. Szły tam nawet o normalną sól kuchenną.

Wprowadzono listę artykułów deficytowych, ażeby nie było monotoni. Jednego dnia były na niej na przykład jabłka i mąka krupczatka, drugiego — konserwy rybne i majonez, a następnego herbata i kisiel, przy czym agenci dowiadawali się

Ciekawe, bo minister od handlu zdecydował, że: „agent ma prawo zaopatrywania się w towary na równi z punktami sprzedaży detalicznej prowadzonymi przez przedsiębiorstwo”. Dowiedziałem się o tym czytając załącznik do zarządzenia 49 MHWU z 29.11.77 r. w Dzienniku Urzędowym z 15.12.77 r.

Na zebraniu dyrektor Chrańb zapewnia: „... jeśli ktoś nie otrzymał tego, co ma otrzymać (?) natychmiast informować odpowiednio działu”.

Przez malwersacje i korpumpowanie handlu uspołecznionego sami sobie agenci zamknęli buzię. Nie mogli już bowiem występować wspólnie tak, by nie szkodzić sobie wzajemnie w „dojściach”.

Rozgrywki

wyszły ze stanu utajonego i od razu pierwszy atak poszedł na finanse. „Spolem” cofnęła stosowane wobec agentów prolongaty i zażądała opłat za towary przy wystawianiu faktury, to znaczy przy odbiorze towaru albo i wcześniej, przez co wreszcie zastosowała się do obowiązujących wszędzie

rektor ZRB i żadnych uzgodnień z dyrektorem Chrańbem nie czynił, chłodniak naprawić nie może i nie będzie mógł, umów nie podpisał.

Agent będący w potrzebie załatwił sprawę za dyrektorskimi plecami. Pracownik ZRB 1 - z częściami z ZRB 1, w czasie pracy przeznaczonym dla ZRB 1 przybył i za pieniądze dla siebie, zrobił maszynę jak się pałtry. Jeszcze dał gwarancję.

A oto kolejna osobliwa wersja związku zgody między słowem i czynem. Dyrektor Chrańb zapewnił w obecności niemal całej dystrykcji Oddziału WSS i przedstawicieli Zarządu Spółdzielni, że lokale przekazano agentom w stanie nadającym się do handlowania. Następnego dnia pani Jerulak z Miejskiej Stacji Sanitarnej - Epidemiologicznej przedstawiła materiały, z których wynika, że na niektóre obecne sklepy agencji już dwa lata temu wydano zalecenia wykonania remontów. WSS zwrócił, aż przekazał lokale agentom, a ci na oczach przejrzyli dopiero po wizycie inspektorów Sanepidu, którzy im uświadomili, że teraz w myśl przepisów, oni znaczy agenci odpowiadają jako właściciele, za remont. Nie odpowiadało

wy z dostawcami prywatnymi, wyjeżdża po towar na przykład do Łodzi (tam go przypadkiem poznałem) zajmuje się dostawami z Centrali Rybnej, młeczarni, zakładów jajczarsko-drobiańskich, browaru, chłodni, WSOP „Witamina”.

— Za jakie pieniądze to wszystko?

— A no za dwadzieścia tysięcy dla siebie i żony. Można jeszcze wymierzyć czas pracy — około 14 godzin, i kilometr samochodu w marcu ok. 6 tysięcy. Zdrowia i nerwów wymierzyć się nie da.

Narada

odbyła się 27 marca o godz. 13 w świetlicy WSS. Przybyło na nią 12 agentów, 12 przedstawicieli Oddziału WSS (w tym czterech dyrektorów) i jeden przedstawiciel Zarządu.

Powodem zwołania narady jest negatywna ocena opinii społecznej — zaznaczył na wstępie dyrektor Chrańb. Dalej odbyło się przedświadek „bicie piany”, w którym dużo mówiono o obowiązkach (agentów).

Później załatwiano konkretne sprawy: jest faktura, maki nie ma — będzie. Zapłacił za tofi, dostał landrynki — dostanie tofi. Zamówił 300 kg soli, dostał 100 — dostanie 300. Wmusili suchary — nie będą wmuszać. Wmuszają śmietanę 12 proc. — nie będą wmuszać. Brak torebek — jak będą to agenci dostaną. W sklepie zabrakło mleka, kontrola się przychyliła, a to w sąsiednim sklepie był remanent i dlatego wykupili. Żeby wiedział wcześniej to by zamówił więcej — będą informować o remanentach. Mleczarnia nie chce przyjąć mleka, które zostało. Zamówił więcej, bo zapowiedzieli remanent w sąsiednim sklepie i nie zrobili — przyjął mleko. Placą na fundusz socjalny, a nie korzystają. Dzieci na choinkę nie przyjeżdżają do wyjaśnienia. Remont — do wyjaśnienia. Sprawiedliwy przydział wszystkich artykułów — absolutnie na ten temat dyskusji nie ma.

Coś jeszcze? No to pamiętajcie (tu znów „bicie piany”). Dziękuję, do widzenia. Razem dwie godziny 34 minuty.

Zadnych konstruktywnych wniosków nie podjęto, żadnych istotnych problemów nie załatwiono, żadnych zmian w dotychczasowej polityce wobec agentów nie wprowadzono.

„My niżej podpisani agenci sklepów ogólnospożywczych (...) zmuszeni jesteśmy zrezygnować z dalszej współpracy, co uduku mentowaliśmy w złożonych przez nas wypowiedziach na ręce dystrykcji WSS „Spolem”. Siedem podpisów.

Uświadomienie rozsyłanie i zrozumienie teorii mechanizmów. Chyba mi się nie udało, ale pocieszam się, że kilka tegich głów już wcześniej wyłysiało i też nie zrozumiało. Selekcjonując materiał do tego raportu musiałem z wielu faktów zrezygnować. Niemniej domyślam się, że po opublikowaniu tego tekstu znajdzie się co najmniej kilka osób, które będą w sposób nieskomplikowany (któ, komu, kiedy, dlaczego, co powiedział i co zrobił) wyjaśniać, ale tak żeby wszystko do końca już zaciemnić. I tym chciałem przypomnieć pewną maksymę: czyń każdy w swoim kółku, co każe duch boży, a całość sama się złoży.

J. SIWAK

Nie uczestniczą w tworzeniu współczesnych samolotów wojskowych, ani ich nie pilotują. Wszystkie jednak co czynią ma bezpośredni wpływ na rozwój i bezpieczeństwo polskich skrzydeł.

Wyspecjalizowane komórki Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej prowadzą badania związane z rozpoznaniem i zapobieganiem chorobom na jakie narażeni są zarówno piloci spod znaku białoczerwonej szachownicy, jak i błękitnych odznak lotowskich.

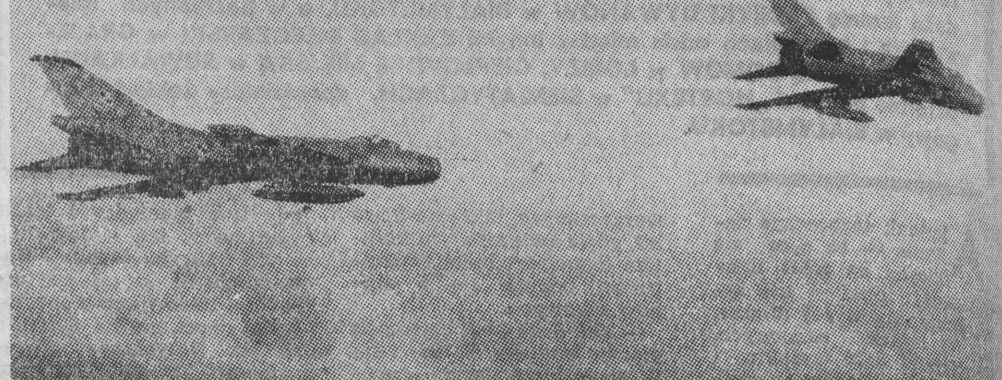
Współczesne lotnictwo wojskowe charakteryzuje się ciągłym rozwojem; zwiększające się pułapy wysokości osiąganych przez samoloty naddźwiękowe, latające z dużymi prędkościami nisko nad ziemią — wymagają od załóg wysokich umiejętności, a nie ma dostatecznych możliwości prze-



Piloci po badaniach w komorze niskich ciśnień.

Fot. CAF-WAF — Wróblewski

Tylko dla pilotów



prowadzania wszystkich koniecznych badań w powietrzu. Stworzone zostały więc warunki do tego rodzaju prac i eksperymentów w Instytucie. I tak w komorach niskich ciśnień piloci wyposażeni w specjalne ubiory przeciażeniowe i hermetyczne hełmy, aklimatyzują organizmy do warunków obniżonego ciśnienia na wysokościach 5000, 10 000, 15 000 i więcej metrów. Kto chce latać coraz wyżej i w dłuższe czasy służby w powietrzu, sprawdza swoje predyspozycje zdrowotne w tzw. wirówce przeciążeniowej.

— Pilot — mówi ppik dr med. Mieczysław Woitko — zasiada w hermetycznej szklanej kabine znajdującej się w kołowej części 10-metrowego ramienia „wirówki” i odbywa lot w ciemnościach dookoła osi. Towarzyszą mu wszystkie charakterystyczne zjawiska zachodzące podczas normalnego lotu.

Ajent w labiryncie

o tym ze skreślonych zamówień.

Nie wiedząc jeszcze o co chodzi, ale wiedząc całkiem na pewno, że coś się zmieniło, agenci wpadli w zupełną dezorientację, zwłaszcza po oficjalnym spotkaniu z dystrykcją „Spolem”, gdzie niezmiennie mówiono o traktowaniu ich na równi ze sklepami WSS. Skoro mają być traktowani na równi, a trudności są, to znaczy, że trzeba... włączyć wspomaganie. Poszły w ruch czekolady, politory, koniaki, bilety NBP. Efekty były jednakowoż niewspółmierne do poniesionych kosztów. Korpumpowano bowiem indywidualnie i na dodatek różne szczeble hierarchii pracowników dostawco - magazynowo - biurowych. Zdecydowanie najgorzej wyszli na tym konwojenci, których sprzeniewierzenia wykrywane były natychmiast i karane np. „mandatem” 500 złotych. Sprzeniewierzenie owo polegało na dostarczeniu transportu na przykład wafelków w czekoladzie czy herbaty do sklepu agencyjnego zamiast nieagencyjnego.

Kierownik Działu Artykułów Owocowo - Warzywnych i Rezerw pan Zenon Kosacz wystosował nawet pismo (nr OWR/184/4), w którym: „zabrania się kategorycznie dostaw artykułów deficytowych jak również będących w niepewnej podażu do sklepów agencyjnych. W przypadku stwierdzenia takich dostaw w stosunku do osób winnych wyłączenie będą wnioski służbowe”.

przepisów, a agentów postawiła nagle przed koniecznością uregulowania natychmiast długów nieraz dziesięciotysięcznych, co na złotówki wychodziło często więcej niż 100 tys. zł.

Związek Spółdzielni Mleczarskich zażyczył sobie zniżenia kaucej za dziesięciodniowe dostawy mleka i warzyw. Wszystko pod rygorzem wstrzymania dostaw. Zmienił się też na o wiele bardziej skomplikowany od poprzedniego, system kredytowania agentów przez Bank Spółdzielczy. W ten oto prosty sposób sytuacja agentów stała się labiryntem, z którego nie można było wyjść, którego nie można obejść, i przez który ciężko przejść.

Niefart

mieli agenci, kiedy przejmując placówki wykupili od WSS urządzenia. Dystrykcja „Spolem” twierdzi, że sprawne, czego dowodzą protokoły przejęcia. Agenci twierdzą, że niesprawne, czego dowodzą te protokoły, tylko że Sanepidu i mandata.

Sprzęt naprawić może wyspecjalizowana placówka „Spolem” o wdziercym kryptonimie ZRB 1. Należy jedynie podpisać umowy o konserwację sprzętu, a to zostało z dyrektorem ZRB 1 uzgodnione. Tak informowano agentów i mnie. Agenci twierdzą, że nie o umowach nie wiedzą, ale gdyby wiedzieli to też nie by z tego nie wynikało. Sprawdziłem — pan Badowski dy-

to na przykład agentowi Burczy. Na zebraniu zażądał od WSS wykonania remontu, na co dyrektor Chrańb stwierdził: „... tak i tak już trzeba remont zrobić. Na Sitarzkiej WSS tak i tak remontu nie zrobi”. Za chwilę okazało się, że jednak robi, ale ostatecznie sprawę odłożono do wyjaśnienia. Później tłumaczono mi, że ktoś gdzieś pomylił jakieś pismo, ale że strony (to znaczy WSS i agenci) doszły do porozumienia. Burczyć będzie na ręce i robić remont sam, a WSS zwróci mu pieniądze. Potem agent chciał, żeby mu odliczyć dwa tygodnie w ryczałcie, bo nie handluje. WSS nie chciał i sprawa utknęła. Jak jest teraz, nie wiadomo nawet w Sanepidzie.

Dzień pracy

Paskiewicz rozpoczyna o około wpół do piątej. Do ósmego pomaga handlować żonę, później jedzie do hurtowni, by zamówić towar i się o niego wykić lub wyjechać. Około jedenastej jest w sklepie. Odbiera utarg, bo przed dwunastą musi dokonać wpłaty do Banku Spółdzielczego. Później potwierdza w Banku czek rachunkowy i jedzie znowu do hurtowni, gdzie towar czeka na odbiór. Później odbiera towar w swoim sklepie. Później... to jest już późno i zamyka się sklep. W międzyczasie Paskiewicz prowadzi buchalterię, załatwia spra-

wy z dostawcami prywatnymi, wyjeżdża po towar na przykład do Łodzi (tam go przypadkiem poznałem) zajmuje się dostawami z Centrali Rybnej, młeczarni, zakładów jajczarsko-drobiańskich, browaru, chłodni, WSOP „Witamina”.

J. SIWAK

— Czy wszyscy rolnicy z gminy Banie Mazurskie wykonują zalecenia gminnego ośrodka dyspozycyjnego tak, jak by Pan sobie tego życzył?

— Jeśli z pytania miałbym wyciągnąć aluzję do zróżnicowania narodowościowego, bo przecież na terenie zamieszkuje kilka grup etnicznych to w ogóle nie ma sprawy. Historia zatarta dawne — powiedzmy — niejednokrotnie rozumienie tego samego zadania. Ale dzisiaj rozumiemy się doskonale. Jeśli natomiast chodzi o kwestię gospodarczą, jako tako jesteśmy usatysfakcjonowani rozwojem gminy. Nasze rolnictwo — bo z rolnictwa wszyscy tutaj żyjemy — pnie się w górę.

— Proszę o dowody.

— Na 42 jednostki administracyjne w województwie suwalskim nasza placówka — pod względem rozmiarów sprzedaży artykułów pochodzenia rolniczego na każdy hektar gruntów — na szóstym miejscu. Najlepiej idzie naszym gospodarzom z hodowlą bydła rzeźnego. Bukaty u nas dobrze rosną. Mamy tu pierwsze miejsce w województwie. Rolnicy z Bani sprzedają rocznie pięć razy tyle mięsa wołowego (w przeliczeniu na 1 ha) co na przykład — gmina Piaska.

— To tylko oznacza, że jesteście w czołówce, ale jeszcze nie świadczy, że wspinacie się w górę.

— Mówiłem o szóstym lokacie w tzw. klasyfikacji towarowości produkcji rolniczej, ale przed rokiem było ósme miejsce, a przed dwoma — trzynaste.

— Pewnie gleby macie lepsze, niż inni, bo klimat tu nieźle sprzyja.

— Sprowdzając jakość gruntów, agroklimat, rzeźbę terenu i warunki hydrologiczne do wspólnego miana, Banie Mazurskie są w samym środku Suwalskiego. Zatem jesteśmy globalnym średniakiem.

— Nie bądzie w takim razie tacy tajemnicy.

— Chodzi o ten awans? Duża zasługa wydajnego gospodarowania 450 rolników i spółdzielni kółek rolniczych. I operatywności pracujących tu od 1945 roku naczelnika — Stefana Kontrolowicza oraz gminnej służby rolnej.

— Jest też na waszym terenie PGR.

— PGR — to „klucz ponadgminny”, ze zjednoczeniem w Suwałkach, więc

możę o nim tylko ogólnie. Dotąd mieli duże straty, ale zapowiadają się u nich lepsze dni. Sprzyja temu porządkowanie gospodarki ziemią.

— Na czym to polega?

— PGR posiada sporo enklaw gruntowych, których nie uprawia, bo i nie bardzo są ku temu techniczne możliwości. Więc te enklawy — śródpolne nieraz — by nie odogadywały, trzeba

Posłuch w obie strony

(Rozmowa z I sekretarzem KG PZPR w Baniach Mazurskich — JANEM RAŹNIAKIEM)

było rolnikom wydzielone. A od kilku lat prowadzimy elastyczną politykę obrotu ziemią. PGR np. chciałby jeszcze więcej ziemi, choć ma 7,8 tys. ha, ale dużych powierzchni do przekazania w gminie nie ma, bo grunty u nas w cenie. Rolnicy sami sporo ziemi kupują. W 1979 roku aż 160 hektarów. Nabywcy — tu niema wyjątków — od razu zabierają się do zaostrzenia gleby, wypielenia chwastów, zasiewu zboża, posadzenia kartofli.

— Wspomnieliście o wysokiej produktywności gospodarstw indywidualnych. Myślę, że mają, do dyspozycji” tylko 450 rolników, po prostu łatwiej zarządzać, łatwiej dogadać się z nimi aniżeli w gminie, gdzie jest dwa tysiące gospodarstw...

— Trudno zaprzeczyć, bo jednak znamy — wspólnie z naczelnikiem — każdego rolnika w gminie i wiemy, na

co kogo stać. Ale myślę, że istota „produkcyjności” tkwi gdzieś indziej. Osiągłoby gospodarstwo obszarowo większe, tym wyższa towarowość. Teraz przeciętna wielkość przekracza 10 ha. Mniejsze ciągle wypadają z produkcji, ich kosztom powstają większe. Nasz model jest taki: sto warsztatów rolnych po 50 ha każdy. Pierwsze doświadczenia wskazują, jak słuszne to zamierzenie.

— Jakże doświadczenia?

— Zespół rolników na czele z sołtysiem Edmundem Kociubą spod Bani pobrał dwie chlewnie i gospodarzy właściwie na 50 ha. Rocznie zespół sprzedaje 40 ton żywności, podczas gdy cała gmina — 460 ton. Jeśli Edward Barczyński z Zabina, gospodarujący z rolnikami pracującymi w wyrobnym na rolnika synem, to czy nie można na juniora Barczyńskiego? Dla mógłbym wyliczyć kilkunastu rolników, którzy z rozmysłem wysłali synów do szkół rolniczych i zyskują się do przekazania im własnych gospodarstw.

— A czy pewnie, że ci młodzi po dobiec dyplomów wrócą na ojczystą?

— Przyszli do mnie kiedyś Romuald Janulewicz z synem i zapytał: sekretarzu chce kupić synowi gospodarstwo, który później złoży je z moim. Doświadczenie o przydział na maszynę? Ja mu na to: zawrzyjmy w tej sprawie umowę, żeby oboje nie zapomnieli. Zrobiliśmy to i dzisiaj oboje strony są zadowolone.

— Czy taki może być przepis na sukces?

— My jesteśmy rolnikom postawili. Czego tylko żądają — otrzymują. Rzetelność, jasność, mamy takie możliwości. Oni nas też nie zawiodą, produkują dużo i ciągle więcej. Ale czasami trzeba się potargować o jeszcze więcej.

— I co, wychodzi?

— Niestety, z tym coraz trudniej. Wiele gospodarstw osiągnęło góry, ale przy malejących przeciętnych zasobach siły roboczej — możliwości produkcyjnych. Stąd ten model: zespół i gospodarstwa specjalistyczne, większe obszarowo z postępującym podziałem pracy.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: H. KIN

c. d. ze str. 1

Przypominają mi się wyniki egzaminów wstępnych na studia. Z matematyki aż 72 procent ubiegających się nie zdało egzaminu pisemnego. Z innych przedmiotów nie jest lepiej, w tym głównie z języka rosyjskiego: 68 procent otrzymało notę niedostateczną. Jestem przerażony. Dlaczego szkoła średnia nie potrafi przygotować kandydatów na studia?

Nauczyciele w szkole średniej dający uczniom oceny niedostateczne mają przeciw sobie wszystkich. Uczniowie i rodzice są niezadowoleni, chociaż ze skargami do dyrektora, czasem nawet do kuratorium, które w takich przypadkach przysyła do szkoły nekających wizytatorów. Taki więc nauczyciel jest nie do dobrego człowieka i jest jak do pedagog. Ktoś z nauczycieli chce mieć taką opinię?

3

Rozmawiam z młodzieżą po zakończeniu pierwszych egzaminów pisemnych w sesji rekrutacyjnej. Pytam dlaczego

tak źle zdają. Milczą, a po chwili jedna z dziewcząt odpowiada: „bo się w szkole nie wymaga”. Podobne zjawisko obserwuję i na naszej uczelni, podobni są nauczyciele akademicy. Są dobre ubrania, uśmiechnięci, grzeczni, uprzejmi, ładni, podziwiali, na temat polityki, ideologii, socjalizmu nie prowadzą dyskusji, bo politycznie w ten sposób się nie podpadnie. Wobec studentów są łagodni, dobrzy, pełni życzliwości. Studenti ich chwala. I tak mijają im lata, pełne spokoju i zadowolenia. Tak postępują słabi nauczyciele, ci którzy nie potrafili naukowo pracować i zdają sobie sprawę, że niczego na tej drodze nie osiągną.

Gdy kończą się egzaminy pisemne na studia, pojawia się nowy kłopot. Ci, którzy pozostają na miejscu, stają się niewielką liczbą ponad limit. A limit przyjęty powinien być, bo musi być wypełniony. Jeśli się tego nie zrobi, odbędzie się nowa sesja egzaminacyjna na jesień. Przerażające. Znowu tyle papierkowej roboty, tyle zaciągów. Lepiej więc teraz wypełnić limit. Tak myślą wszyscy. Więc na ustnych egzaminach nauczyciele obniżają wymagania.

Zrealizowanie limitu przyjęć oznacza, że pracownicy

wydziału będą mieli pracę, bo etaty ustala się według liczby studentów. Rektorat się cieszy z tego powodu, bowiem szkoła jest finansowana według liczby studentów.

Limit przyjęć ma także znaczenie finansowe. Szkoły mają być gospodarne, wobec czego opłacane są według stawek przypadających na jednego studenta. Powoduje to dodatkowe trudności wychowawcze, bowiem z reguły władze szkolne są zainteresowane by nie skreślać z listy nawet najgorszych, bowiem spowoduje to w następnym roku zmniejszenie dotacji pieniężnych z ministerstwa. W myśl regulaminu, nie wolno powtarzać I roku. A jednak studenci powtarzają. Wtedy jest lepsze finansowe zaopatrzenie uczelni. Właśnie o tym młodzież. Toteż w najgorszych sytuacjach egzaminacyjnych odwołuje się do dyrektora i prorektora, aby nie powtarzać roku lub nie być skreślonym. I z reguły to się udaje, bowiem nad szkołą wisi wąż finansowy ministerstwa.

Mijają wakacje, zaczyna się nowy rok. Student na wykładzie nie chodzi. Na seminarium i ćwiczeniach nie są aktywni. Nie dotyczy to większości, ale mimo to jest bardzo przerażające, widząc brak zaintereso-

wania wiedzą, brak im oczytania. Korzenie tego zjawiska tkwią głęboko i sięgają do rodzicielskiego. Matka i ojciec pracują zawodowo, nie mają czasu na dyskusję z dziećmi, a jeśli rozmawiają, to o sprawach przyziemnych, o trudnościach rynkowych lub o pieniądzu. Więc i dziecko nie nabywa zainteresowań.

Dochożdo do mnie niespokojne wieści. Na wykład jednego z docentów przyszedł nie więcej jak dziesięć osób. Podobno studenci wyznaczają dyżury, aby wykład mógł się odbyć. Rozmawiam z młodzieżą na ten temat. Owszem wykłady są na poziomie, przebiegają dyskusyjnie, nie mają, ale wychodzą, bo tak czynią wszyscy.

Przechodzę z wizytacją na jeden z takich wykładów. Docent jest zdziwiony i zakłopotany. Mówi płynnie. Nie posługuje się notatkami. Jest dużo słów, mało treści. Rozmawiam z docentem. Mówię, że wykład mi się podobał, że ja osobiście stosuję notatki. Docent uśmiecha się i mówi: Czekam około roku na recenzję. Jest pozytywna, lecz i tak pracę trzeba poprawić. Poprawiam ją. Zdaję sobie sprawę, że tylko wytyczoną pracą mogę uzyskać stopień naukowy. Więc piszę jednocześnie drugą pracę habilitacyjną.

tach ten młody człowiek szybko awansuje, zostaje nie tylko profesorem ale także rektorem. Odczuwałem to długo.

Drugi przykład. Pamiętam jako młody chłopak, zadziorny i bojowy, zostając przewodniczącym redakcji zeszytu naukowego. Jeden z profesorów podał mi artykuł do opublikowania. Czytałem i dochodziło do przekonania, że należałoby go nieco zmienić w imię interesu profesora. Idę do niego i mówię, o co chodzi. Profesor dziękuje mi serdecznie, nie, potrzebuję mi rękę i mówię, że jest moja postać zbudowana. Artykuł poprawiam, ale ja drugiego numeru już nie redaguje, bo profesor rozpoznał, że ja początkujący młodziśnik, uczyć starego mistrza, jak ma pisać artykuły.

Moja naiwność na przykład odbija się na przewodzie habilitacyjnym. Piszę pracę habilitacyjną. Zgłaszam ją do wydawnictwa szkoły. Redaktor posyła ją do recenzenta. Czekam około roku na recenzję. Jest pozytywna, lecz i tak pracę trzeba poprawić. Poprawiam ją. Zdaję sobie sprawę, że tylko wytyczoną pracą mogę uzyskać stopień naukowy. Więc piszę jednocześnie drugą pracę habilitacyjną.

Pierwsza z nich idzie do recenzenta, druga także. W końcu mam trzy pozytywne recenzje pierwszej i dwie drugiej pracy. Jedną wybieram do druku. Wówczas ta właśnie pozycja do czwartego z kolei recenzenta. Zaczyna się przewód habilitacyjny. Sposród czterech dotychczasowych recenzentów wybiera się jednego i pracę z kolei posyła się do dwóch następnych. Tym razem recenzję sporządza

daje mi otuchy, nadziei, że w następnym roku wszystko się zmieni. Nie podejmuję się o nic. A potem dowiaduję się, że to właśnie on nawet wprowadził do planu wydawniczego.

4

Władze uczelni żądają aby samodzielnymi pracownicy prze-

Zygmunt Narski

Nie dla

szybko. Odbywa się kolokwium habilitacyjne. Otrzymuję trzy wiązki pytań, w każdej po pięć. Odpowiadam około dwóch godzin. Zostaje doktorem habilitowanym.

Najtrudniejsze są dla mnie do zniesienia stosunki między ludźmi. Dowiaduję się, że proponowany mój skrypt nie wchodzi do planu. Kierownik komisji wydawniczej popiera mnie, walczy o moją sprawę, argumentuje, ale nie przekonuje komisji uczelnianej. Do-

prowadzili hospicja zajęć dydaktycznych. Wszystko ma odbywać się według określonych planów. Wysłałem więc pisma w tej sprawie do kierowników zakładów. Otrzymałem sprawozdanie z wizytacji zajęć. Wszędzie stwierdza się wysoki poziom nauczania, aktywne oddziaływanie wychowawcze i ideologiczne. I tak co roku. Sam także hospituję. Jeden z adiunktów, przyjmując praktyczną metodę nauczania. Ktoś ze studentów daje krótkie wprowadzenie.

Chcieliby, aby był tłumacz, tak, aby każdy mógł zrozumieć. A więc chodzi o to, aby coraz bardziej ułatwiać naukę. W tym dostrzegają istotę uczenia. To tak jakby sportowcy chcieli najmniej wysiłku, a najwięcej. I trudnych wysiłków, że to ich doprowadzi do rekordów. Podobnie na tych seminarjach, że młodzi nauczyciele za wszelką cenę chcą ułatwić uczenie się, że zagadnienia są trudne, a potem ma być dyskusja, ale nie ma. Inny adiunkt podaje mi się przezroczysto. Studenci są niby zaciekawieni, jednak później cisza.

Tak mi się wydaje, że im więcej dajemy z siebie wysiłku, tym mniej trudzą się studenci. Siedzą jakby ziewając, że można stawić czoła własnej zagadnieniu, że rozmowa prywatnej twierdzą, że zagadnienia są trudne.

Mgr Henryka Cieśluka, byłego wiceministra sprawiedliwości i zastępcę prokuratora generalnego PRL, znamy z opowiadań, wiedziałem, że oskarżał hitlerowskich oprawców z Majdanka, zasiadał w zespole sędziowskim w procesie galeiterów Gdańska. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że znany prawnik, działacz ruchu robotniczego, odznaczony Orderem Budowniczego Polski Ludowej jest tym samym Henrykiem Cieślukiem, który w historii Łomżyńskiego Klubu Sportowego figuruje jako założyciel klubu. Wszystko się zgadza. To jest ten sam Henryk Cieśluk. Dziś jest na emeryturze. Odwiedziłem go w jego mieszkaniu w Warszawie. Znalazł czas aby chętnie podzielić się z nami swoimi wspomnieniami:

Henryk Cieśluk

Wspomina...

sportowy „Skr” zorganizowany na zlecenie PPS.

Po dyskusjach w obecności przedstawicieli KC KPP — Funka zapadła decyzja. Powołujemy Łomżyński Klub Sportowy. Pierwsze zebranie organizacyjne odbyło się w moim mieszkaniu przy ul. Dworkiej 30 (dziś ul. 22 Lipca). Udział w nim wzięli: starszy mój brat Wacław Cieśluk, robotnik Stefan Kowalik, robotnik Michał Kaczyński, uczeń ostatniej klasy gimnazjum Kazimierz Stanczuk, Edmund Dąbrowski także uczeń gimnazjum. Zebraniu przewodniczył ja, a Edmund Dąbrowski protokolował. Musieliśmy występować w miarę jawnie, aby nie było podejrzeń, że działamy w konspiracji. Opracowaliśmy statut klubu

i wszyscy z wyjątkiem uczniów zbierali następnie podpisy pod statusem.

Linia ideowa ŁKS polegała przede wszystkim na wszechstronności uprawianego sportu, na przyciągnięciu do idei kultury fizycznej jak najszerszej masy młodzieży z baczną uwagą na równomierne kształtowanie duszy i ciała. Statut klubu złożyliśmy w Starostwie. Długo był jakies „ale”. Wiele zdrowia i nerwów kosztowało nas zalegalizowanie klubu. Prezesem został wybrany mój starszy brat Wacław (kierownik Księgarni „Świt”, zamordowany przez hitlerowców w roku 1941). Nie czekając na ostateczne zatwierdzenie zaczęliśmy grać w piłkę nożną. Pierwszy mecz ŁKS rozegrał z drużyną 33 Pułku Piechoty. To było wielkie zaskoczenie. Największe, że ten pojedynek wygraliśmy. Szybko zyskaliśmy ogólne uznanie. Na nasze spotkania przychodziły setki sympatyków. Wtedy nie było zbyt wiele rozrywek. Dwa kina, bilety dro-

nizacji młodzieżowej. Na mecze mistrzowskie jeżdżiliśmy samochodem ciężarowym. Aby zdobyć pieniądze na opłacenie, braliśmy ze sobą kibiców. Ustawialiśmy im ławki, a oni w zamian opłacali przejazd. My często musieliśmy jechać stojąc. Kibiców mieliśmy z każdym rokiem coraz więcej. Zdobylismy sympatię łomżyńską nie tylko za naszą postawę na boisku. Stawiano nas za wzór. Przez cały okres międzywojenny nie słyszałem o jednym nawet wypadku chuliganstwa wśród naszych członków. W ŁKS działały wówczas sekcje: lekkoatletyczna, koszykarska, siatkarska, wioślarska, narciarska i trzy drużyny piłki nożnej. Musieliśmy na każdym kroku uważać. Otoczeni zostaliśmy agentami „dwójki” i Wydziału Śledczego. Chcieli nas sprowokować. Sanacja chciała koniecznie opłacać ŁKS. Wyrazem tego było gromienie zapisywania się do klubu na rozkaz dowódcy 18 Dyw. Piechoty generała Młot-Fijałkowskiego oraz oficerów z 33 Pułku Piechoty. Z miejsca rozpoczęły się rozgrywki o zmianę statutu i nazwy klubu. Chcieli oni stworzyć inne oblicze społeczno-polityczne klubu. Proponowali nazwę „Legion”. Odmówiliśmy zdecydowanie i w rezultacie długotrwałej dyskusji i opozycyjnego skandowania „nie chcemy Legionu” pozostawiono dotychczasową nazwę z dodatkami „Legion”. Od tego czasu przestałem działać w klubie. Ja i brat mój przysięśliśmy to jako wymuszoną zmianę przejściową. Uczestnikiem tego spotkania był także żyjący dziś w Łomży zasłużony działacz — Rafał Wsędziorówny.

W Polsce Ludowej sytuacja ŁKS uległa zasadniczej zmianie i rzec bez przesady można, historycznie zmianie. Sport i wychowanie fizyczne stały się elementem polityki państwa i nader istotnym środkiem wychowania społecznego. Państwo zapewniło środki organizacyjne i finansowe niezbędne dla rozwoju ruchu sportowego.

— Szkoda tylko — zakończył swe bogate wspomnienia — Henryk Cieśluk, że często zapomina się dziś w Łomży o proletariacko-politycznym rodowodzie Łomżyńskiego Klubu Sportowego, o ofierze krwi i życia, jaką złożyło wielu członków ŁKS w walce z hitlerowskim okupantem.

LESZEK TARASIEWICZ



*
NA
ZDJĘCIU:
drużyna
piłkarska
Łomżyńskiego
Klubu
Sportowego
Pierwszy
z lewej (stoi)
prezes klubu
Wacław
Cieśluk.
Pięty
od lewej (stoi)
— Henryk
Cieśluk
— kapitan
zespołu.
*

W roku 1925 w szkołach średnich powstał Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Była to przybudówka KPP. M.in. należeli do niej: Włodzimierz Sokorski, Janina Rutkowska (zamordowana przez bandę NSZ w Tykocinie, była wówczas lekarzem stomatologiem), Artur Ryter późniejszy generał Wojska Polskiego i wielu, wielu innych. Były to piękne postacie zasługujące na pamięć lub wyróżnienie z grona późniejszych członków Łomżyńskiego Klubu Sportowego.

Do 1928 r. nie było w Łomży cywilnego klubu sportowego poza Towarzystwem Wioślarskim. Działał jedynie w skromnych rozmiarach Uczniowski Klub Sportowy założony przez mnie w Gimnazjum im. Piotra Skargi.

Komórka Komunistycznej Partii Polski postanowiła powołać w Łomży pierwszy sportowy klub cywilny aby odwracać młodzież od wstępowania do Strzelca i Legionu Młodych. Początkowo trudno było przekonać towarzyszy, że to spełni swój cel. Skąd wziąć fundusze? Partia nie miała pieniędzy. Oparłem się na zdobytych doświadczeniach w KW „Sportowiec” w Warszawie. Penetrowałem też stołeczny klub

Szansa

Każdy chyba przyzna, że amatorski ruch artystyczny rozwija się u nas niezwykle żywo. Kontakt ze sztuką są częste i rozmaite. Sprzyja temu m.in. łatwy dostęp do różnorodnych form kultury, stał też mnóstwo przeróżnych inicjatyw: plastycznych, teatralnych, muzycznych, filmowych.

Czy jednak dzieła amatorów osiągną wysoki poziom? Na pewno nie. Wielu z nich uprawia sztukę bez jakichkolwiek wybujałych ambicji, ot, po prostu dla własnej przyjemności i fan-

tazji. Dla jednego owa twórczość służy poszerzeniu wiedzy, dla innych jest sprawdzeniem umiejętności i zdolności. I o to właśnie chodzi. Istota amatorskiego ruchu artystycznego tkwi bowiem w wartościach społecznych, odnoszących się zarówno do uczestników, jak też środowiska, w którym działają, a nie w zastępowaniu profesjonalistów. Jasne, że wśród amatorów znaleźć można sporo perfekcyjnych, mogących z powodzeniem konkurować z zawodowcami — ale to całkiem inna sprawa. Twórczość

amatorska nie powinna stać w szranki z zawodową. Największą jej siłą jest spontaniczność i żywiołowość, a także to, że umożliwia utalentowanym osobom bezpośredni udział w tworzeniu kultury, co ma nie małe znaczenie wobec faktu, że żyjemy w czasach, coraz bardziej sprzyjających tzw. bierniej konsumpcji dóbr kultury.

Każda twórczość zatem jest odpowiednią na indywidualne potrzeby, zdolności i zainteresowanie, równocześnie rozwija je i prowa-

dzi dalej, wyrażając smak estetyczny i kryteria ocen oraz ucząc świadomego odbioru sztuki.

Uwagi powyższe nasunęły mi się w związku z wystawą, jaką oglądałem niedawno w Klubie Seniora Zarządu Wojewódzkiego PKPS w Białymstoku. Była to ekspozycja tkun wykonanych przez Wacława Wiktorowskiego. Kim jest autor? Renomowany, którego ciężka choroba uniemożliwiła wykonywanie pracy zawodowej. Po wielu latach intensywnie przeprowadzonych musiał przestać się na inny, spokojniejszy tryb życia. Aby wypełnić pustkę, którą powstawała w tym okresie, zaczął się tkaniem. Tchniki tej trudnej sztuki poznał sam, trochę mu pomogli dwaj młodzi, zaprzyjaźnieni plastycy. I tak, krok po kro-

ku, doszedł do całkiem ciekawych efektów.

Przed sześciu laty, zaraz po chorobie, porzucił Warszawę, przyjechał do Białegostoku, żeby być bliżej Puszczu Knyszyńskiej. Liczył na zbawienie wpływu leśnego powietrza. Ale też kontakt z przyrodą dopełniał go i zainspirował do działalności twórczej. Jego tkaniny zawierają bowiem tak wiele elementów podparzonych w białostockich lasach, że trudno zgadnąć, skąd te wzory pochodzą. Innym tematem było, coś, co Wacława Wiktorowskiego zamknęło. Urzekła go monumentalna architektura starych budowli. O ile jednak przyrodę ukazał w całej gamie kolorystycznej, o tyle w przypadku zamków zastosował barwy czarno-szare. Wyglądają te tkaniny jak

stare sztychy, zwracając uwagę na oryginalność.

Wacław Wiktorowski twierdzi, że tkactwo jest dla niego wielką szansą. Szansą powrotu do zdrowia, do czynnego życia, do zaznaczenia swojej obecności w społeczeństwie. Twórczość sprawia mu radość, wystawę — satysfakcję, więc nie zamierza porzucić swego hobby. Jakże ma plany? Otóż pragnie utrwalic na swoich tkaninach niektóre z zabytków Białostocczyzny.

Pan Wiktorowski należy do grona przedstawicieli amatorskiego ruchu artystycznego w naszym regionie. Takich jak on jest wielu, niektórzy posiadają ogromny dorobek. Będziemy ich pokazywać, zdając sobie sprawę ze znaczenia tego ruchu.

L. CHALECKA-POŁOCKA

KLUB MIŁOŚNIKÓW KSIĄŻKI



W KRĘGU TEATRU

Czy współczesny teatr, nazywany niedawno „ubogim”, „olwatym” i jeszcze kilkoma imionami, jest zrozumiały dla przeciętnego widza? Jego elitaryzm pozostaje poza wszelką wątpliwością, a niedostępność dla mieszkańców mniejszych miejscowości jeszcze bardziej. Spektakl Grotowskiego, że nie wspomnieliśmy przedstawieliśmy w kraju i w Warszawie, dociera do nielicznych grona odbiorców. W ten sposób rodzi się i rodzą miły. Fragmenty w telewizji, opowieści znajomych sprowadzające najczęściej rzecz całą do kpin — to wszystko powoduje, że oceniamy rzecz nieznana.

Czyż zresztą nie można tego samego powiedzieć o teatrze tradycyjnym? W zasadzie trzy, cztery ośrodki w kraju, proponują teatr interesujący, ambitny, że świetna obsada, w pozostałych tzw. wydarzenia można policzyć na palcach jednej ręki i to w okresie kilku lat. Pozostaje więc jedynie literatura, poświęcona teatrowi i najważniejszym procesom w nim zachodzącym.

Ostatnio w naszych księgarniach mamy istny festiwal tego typu publikacji, traktujących zarówno o teatrze tradycyjnym, jak i nowoczesnym, o jego ludziach i problemach. I nie wiadomo, czy należy to przypisać przypadkowi — bo podobnie jest z innymi dziedzinami — czy też określonej polityce kilku wydawnictw jednocześnie. Przed dwoma tygodniami proponowaliśmy dwie pozycje na ten temat, dzisiaj trzy dalsze. Nie wynika to oczywiście z jakichś konkretnych powodów, po prostu w danej chwili — wybierając z księgarni polki pozycje godne uwagi i polecenia uczestnikom naszej akcji — natrafiamy na takie właśnie książki. Bo okazuje się zresztą, że one właśnie najszybciej — mimo stosunkowo wysokich nakładów — znikają z księgarni. Czwarą pozycją dotyczy muzyki, ale czy twórczość Karola Szymanowskiego nie była związana z muzycznym wprawdzie, ale zawsze teatrem?

— ◆ —
Edward Csató: Interpretacje. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1979 r., s. 505, zł 90.

Zmarły w 1968 r. znakomity krytyk teatralny, Edward Csató, przez blisko dwadzieścia lat publikował swoje recenzje w różnych czasopiśmiech Łodzi i Warszawy, w tym przede wszystkim w „Dzienniku”. Jednostka książka tego nieustraszonego obserwatora narodzin powojennego teatru polskiego, zawiera zbiór recenzji z konkretnych przedstawień, pisanych aż do chwili śmierci. Ponad połowę całości stanowią teksty z lat 1945-1948 i one najbardziej decydują o wartości tej książki. Ukazało się już bowiem kilka pozycji, które wierzący opisane później.

— ◆ —
Zbigniew Osiński: Grotowski i jego Laboratorium. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1980 r., s. 409, zł 120.

Lata świetności Jerzego Grotowskiego i jego teatru „Laboratorium”, jak również wpływu na światowy teatr nowoczesny, mamy już chyba za sobą. Sam twórca zajmuje się w tej chwili czymś innym, stąd dopiero teraz możliwe było pełne spojrzenie na jego twórczość. Zbiór recenzji z konkretnych przedstawień realizowanych przez Grotowskiego, do jakiegoś czasu był w rękach teatralnych aktorów. Ewolucja teatru Grotowskiego, który aż

— ◆ —

Andrzej Bonarski: Ziarno. Czytelnik. Warszawa 1979 r., s. 135, zł 20.

Na pierwszy rzut oka książka Andrzeja Bonarskiego jawi się jako zbiór wywiadów z twórcami nowego teatru. Ale już sam wstęp, którym jest wywiad Magdy Holland z autorem, uświadamia nam, że nie mamy tu do czynienia z schematami. Owszem, jest to zbiór wywiadów, ale jest to książka Bonarskiego o Bonarskim. Pytania, które zadaje autor swoim bohaterom, to pytania, które zadaje przede wszystkim sam sobie i nie może znaleźć na nie właściwych odpowiedzi. Bonarski mówi: „Wreszcie! To, co tu powiedziałem, to w znacznej mierze teoria. Teoria ma być i jakby na planie czynnie tego bardzo osobistych

— ◆ —

Jerzy Waldorff: Serce w płomieniach. Opowieść o Karolu Szymanowskim. Iskry. Warszawa 1980 r., s. 118, zł 12.

Każda kolejna książka nieustraszonego obrońcy polskiej muzyki i wszystkich, co z nią związane, Jerzego Waldorffa, cieszy się nie spotykana wręcz popularnością. I chyba nie umiemy o tym świadczyć, ale umiemy o tym świadczyć, że Waldorff nie jest zwykłym opowiadaczem o rzeczach czужих. Waldorff przez wiele lat walczył o to, by odnowić w te Szymanowskiego „Atma”, następnie zamienił ją w muzeum wielkiego kompozytora. To wielkie dzieło zakończył zaś dzie-

J. G.

Jeden ze studentów nagle zapalał miłością do sztuk pięknych i chce jednocześnie je studiować równolegle z normalnymi studiami. Sprawdzam jego stopień egzaminacyjny, są nienadzwyczajne, student raczej przeciętny. Nie zgadzam się. Korzysta z protekcji. Przychodzi do mnie znajomy docent i prosi, abym zgodził się na jego wniosek. Znowu się narazam. Student

Przychodzi do mnie działacz młodzieżowy. Rozmawia na temat ankiet w sprawie praktyk studenckich. Zgadza się, że praktyki te mało dają, iż należałoby coś zmienić. Na koniec jednak wychodzi syty z worka, studentowi grozi niezaliczenie ćwiczeń z powodu nie usprawiedliwionej nieobecności na zajęciach. Z niesmakiem usprawiedliwiam go, a potem wi-

kraju. Wykładowca twardego podrymując swoje stanowisko. Ja go popieram, lecz po tygodniu wykładowca wszyscy tym zalicza. Pytam go dlaczego tak postąpił, tylko wzrusza ramionami.

5

Zada się, abyśmy ideowo oddziaływali na młodzież. W

ce i winie. Jak temu zaradzić? Nie wiem.

Donosi mi prorektor, że student naszego wydziału w tak zwanym szkolnym półświatku spłił się z kolegami i kogoś pobli. Interweniowała milicja, która kilku studentów zabrała do izby wytrzeźwień. Będzie więc komisja dyscyplinarna. Studenti jednak się jej nie boją. Działają ona wolno i łagodnie.

Z tym półświatkiem mam więcej kłopotów. Oto jeden ze studentów urządził z dziewczynami libację. Po północy włączając muzykę na cały głośnik. Budzą wszystkich. Wszczęła się rwać, potem biłatka. Znowu interweniowała milicja, która wojałów zabiera do izby wytrzeźwień.

Inny student upija się w restauracji i czyni awanturę, bo go ktoś obraża. Kierownik restauracji wyzywa milicję. Student stawia opór, podobno nawet wyzywa, grozi, krzyczy. Tak więc ta sprawa zajmuje się milicję kolegium orzekające. Studenti mają jednak i na to swoje sposoby. Po prostu na trzy kolejne posiedzenia kolegium student się nie zjawia, zawsze usprawiedliwiając się zaświadczaniem lekarskim. W końcu jednak otrzymuje dość wysoka karę nieniechę. Lecz i z tym radzą sobie. Pisze piękne poda-

nie o zniesienie kary. Szkoła popiera. Sam prorektor wypisuje odpowiednie pismo, że student jest wzorowy, dobrze się uczy.

Lecz tenże dziarski student wpisuje do karty egzaminacyjnej faktycznie uzyskaną ocenę, podpisuje się za wykładowcą. Czyż tak dalego, aby uzyskać nagrodę za dobrą naukę. Student tłumaczy, że podpadł wykładowcy, który w ten sposób chce mu dokuczyć. Sprawa zajmuje się komisja dyscyplinarna. Student znowu przedkłada zaświadczenie lekarskie o stanie jego zdrowia. Tymczasem w domu studentem czyni kilka awantur. Wyrzucają go z domu studentckiego. Potem się nad nim lituje i przyjmują. Przyznosi podobno piękny bukiet kwiatów kierowniczce domu, wyraża skruchę i wbrew kolegom, znowu wśród nich zamyka. Tymczasem prorektor rzekomo na wniosek dziekana zawięza studenta w prawach akademickich, a komisja dyscyplinarna daje nagrodę z ostrzeżeniem. Student odwołuje się do rektora w sprawie zawieszenia i odškodowania poniesionego z tytułu tej sprawy. Później do sądu. Prorektor stanowczo stwierdza, że nie dawał polecenia jego zawieszenia. Student wygrywa.

Zdaje sobie sprawę, od młodych ludzi zbyt dużo wymagamy, doszukując się błędów u nich, usprawiedliwiamy własne grzechy. Chyba nie jest tak źle jak sądzę. Zawsze w życiu spotyka się wypaczenia. Czasem na radzie wydziału jakiś stary profesor mówi, że myśmy kiedyś tacy sami byli jak nasza młodzież. To znaczy czyniliśmy burdy, nie uciśniliśmy się. Ja przecież takim nie byłem. Byłem biedny, musiałem walczyć o byt.

Jestem zmęczony. Najbardziej odczuwam to na zebraniach, których jest mnóstwo, a na których ludzie potrafią tak gadać, taką wykazywać aktywność krasomówczą, że gdyby to miało decydować o jakichkolwiek wynikach, byłoby najlepszym w świecie. Zanim taki mówca przejdzie do sedna, wprowadza długi wstęp samobronny i dalej tak mówi, aby nikogo sobie nie narazić, nie naruszyć żadnej opinii moźnych tego świata. Mnie to męczy. Męczy dalego, że nie mogę powiedzieć — przestanie pleść bzdury.

Różne studenckie próby zabierają mi dużo spokoju. Do nich należą próby przeniesienia z uczelni do uczelni. Ponadto włączają się do tego różni możni protektorzy. Ci spr-

wiają mi najwięcej przykrości. Każda moja odpowiedź negatywna jest kwitowana grzecznie i z uśmiechem. Wiem jednak, że tego, komu odmówiłem załatwienia sprawy, już tracę. Protektorom się wydaje, że ja pochodzę z jakiegoś innego świata. Nieraz wprost mi o tym mówią. Ostrzegają nawet. A mnie jest smutno. Jeśli na wszystko się zgodzę, nie będę miał charakteru. Poza tym uciepił na mój interes społeczny. A jeszcze bardziej dziwny ten mechanizm protekcji. Polega na tym, że najpierw czyni się jak najwięcej znajomości, jak najbardziej eksponowanych ludzi. Potem tym ludziom próbuje się świadczyć usługi. Gdy się to uda, z kolei następuje zwracanie się do wpływowych ludzi w sprawie protekcji. A więc tworzy się rodzaj wymiany dobrych i złych uczynków. Jeśli ktoś próbuje z tym walczyć, może się liczyć z trudnościami.

Pewna studentka po pierwszym semestrze nie zdaje egzaminu. Natychmiast wyjeżdża do rodziców, którzy są lekarzami. Po sesji przywozi zaświadczenie lekarskie, że przychodzi, że była chora na migrenę. Drugiego obowiązuje egzaminu nie składa. W myśl naszego regulaminu niestawienie się na egzamin

oznacza wpis dwójki do indeksu. Postanawiam studentkę skreślić z listy studentów, ponieważ nie zdała dwóch egzaminów. Przyjeżdża matka. Prorektor wysłuchuje jej pretensji i odmawia pozytywne go załatwienia sprawy. Dziekan chce umożliwić dalsze studia dziewczynie, lecz kolegium dziekańskie nie zgadza się na to.

Po pewnym czasie otrzymuję pismo z departamentu studiów ministerstwa, abym wyjaśnił to zdarzenie. Wyjaśniam. Mija nieco czasu i dziewczyna zjawia się u mnie w pokoju z pismem ministerstwa, które przywraca jej prawa studenckie. Jest pewna siebie, usmiechnięta. Nie pozostaje mi nic innego jak zrezygnować z funkcji prodziekana do spraw dydaktyki.

Młodzi ludzie nie rozumieją, że ci, którzy wymagają im pomagają. Od nich zależą ich kwalifikacje, a więc przyszłe zawodowe powodzenie. Ja sporo pracuję. W zeszłym roku publikowałem dwadzieścia pozycji. W ten sposób pośrednio krytykuję tych, którzy nie pracują. A w nauce, jeśli ktoś nie pracuje naukowo, tylko dydaktycznie — jest cudownie. A ja swoją pracą w tej cudowności im przeszkadzam.

pieniędzy

zwraca się do kolegium dziekańskiego, a tam jest kilku wpływowych ludzi, którzy chcą przynająć mu rację. W głosowaniu jednak wygrywam. Wydaje mi się, że uczymy młodzież egoizmu, że staramy się za wszelką cenę pomagać. Owszem młodzieży należy dawać jak najwięcej. Ale trzeba także od niej brać. Ile wysiłku wkładamy w to, aby mało zdolni i mało pracowici uczniowie skończyli studia, a w ogóle nie zajmujemy się zdolnymi, utalentowanymi.

dzę, że chodziło tylko o zaliczenie ćwiczeń. Na czwartym roku jeden z wykładowców nie zalicza za pięć ośmiu studentom. Student odwołuje się do dziekana. Mnie pomijają, bo wiedzą, że tej sprawy nie załatwią. Dziekan stawia też kwestię na kolegium dziekańskim w obecności wykładowcy. Wykładowca jest dzielny. Nie chce zaliczyć. Ma argumenty w postaci kolokwium i nieobecności na zajęciach. Dziekan prosi, powołuje się na dobro

tym także celu powołano radę młodzieżową. I ta właśnie rada najwięcej skarży się na młodych ludzi. Dochodzą mnie niepokojące wieści. W domach studenckich odbywają się libacje. Jedni nie mogą spać, inni nie mogą się uczyć z tego powodu. Mieszkają tam ponoć studenci-waleci. Poważniejszą sprawą jest picie wódki i wina. W jednym z domów studenckich znaleziono około tysiąca butelek po wód-

RELAKS

Największy żaglowiec świata

31 żagló o powierzchni 1160 m² ma największy żaglowiec świata — długości 108 m, „SeaCloud”, zakupiony ostatnio przez 9 obywateli RFN.

Statek, zbudowany w roku 1931 w Kolonii, został gruntownie zmodernizowany. Będzie on wozził bogatych pasażerów po morzach świata. (M.M.)

Delfiny dla smakoszy

Europejska komisja do ochrony przyrody stwierdziła, że wódki włoskie stały się bezsilne wobec polowań na delfiny. Obliczono, że chciwi rybacy włoscy zabijają harpunami na Morzu Śródziemnym ok. 100 delfinów miesięcznie. Zwierzęta te stały się kulinarnym przysmakiem w wielu włoskich restauracjach. (M.M.)

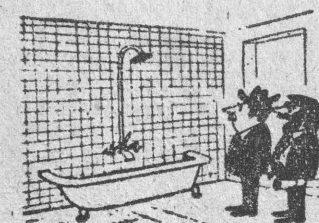
Najwyższy budynek świata

Najwyższy budynek świata powstanie w portowym mieście Liverpool. Będzie on mierzył 550 m wysokości i przewyższy o 138 m dotychczas najwyższy budynek świata „World Trade Center” na Manhattanie w Nowym Jorku.

Nowy gigant będzie miał 139 pięter oraz 100 tys. m² powierzchni biurowych. (M.M.)

„Głowa” do reklamy

Kalifornijczyk Ray Valine sprzedał swoją głowę na reklamę. Po prostu zgolił włosy i na głowie dał sobie malować różne slogany reklamowe a następnie chodził — przez 8 godzin po ulicach Los Angeles. W ten sposób zarabiał na utrzymanie. (M.M.)



— Musimy oszczędzać, druga połowa jest u sąsiadów.



Franciszek Mardula w swojej zakopiańskiej pracowni szkoli wielu przyszłych lutników.

Lutnik — zawód zanikający

Dawno minęły czasy, kiedy każdy instrument muzyczny wykonywany był przez znakomitego rzemieślnika, artystę w swoim fachu. Zbyt wiele jest bowiem obecnie zainteresowanych muzyką — czy to profesjonalnie czy amatorsko. To powoduje, że tylko pojedyncze, niezwykle cenne egzemplarze wykonywane są przez znanych lutników. Większość używanych teraz skrzypiec, wiolonczel, altówek i kontrabasów pochodzi z seryjnej produkcji fabryk instrumentów.

W Polsce niewielu ludzi uprawia ten niewątpliwie ciekawy zawód, jakim jest lutnictwo. Jednym z nich jest Franciszek Mardula z Zakopanego, należący do seniorów tego rzemiosła w naszym kraju. Wyrobem instrumentów zajmuje się już od 50 lat, z czego 20 ostatnich poświęcił także na szkolenie swoich następców. Do mistrza Mardulę przyjeżdżają młodzi ludzie nie tylko z kraju, ale także zza granicy. Poznają u niego wszystkie tajniki tego trudnego, ale przynoszącego zarazem wiele satysfakcji zawodu. (IGW)

CAF — Momot



Jeden z uczniów mistrza Mardulę — Jerzy Burban, który niebawem rozpocznie samodzielną pracę.

Zbigniew Waydyk

MYŚLI NIESFORNE

I chwilowej chorągwie zdarza się zdobyć status szanowanego.

Nigdy za wiele dialogu z samym sobą.

Zejście z piedestału połączone jest nieraz z większymi trudnościami niż wejście nań.

Uzbrojenie po zęby nie wyklucza tego, że się pozostaje na glinianych nogach.

Może by tak izba wytrzeźwień dla pijanych problemami epoki?

Stacjonowanie na dno może być też jednym ze sposobów dyskwalifikacji na czasie.

Kolorytyka nie zmienia się: z zielonego fotela wyeksponowano go na zieloną trawę.

Postrach współczesnego Krakowa: smog wawelski.

Kilka dni temu do Nabrzeża Helskiego w Porcie Gdyniśkim przypłynął brytyjski promowiec „Baltic Eagle”. Statek przywiózł 114 pustych nacze transportowych tzw. roll-trailers, które następnie wyeksponował na specjalnej rampie ładunkowej wybudowanej w najnowszym barze portu. Była to próba generalnego przeładunkowego (w systemie Ro-Ro), zainstalowanego w nowym rejonie portowym.

Od lutego br. pływają po tej trasie także nowe promowce bandery polskiej M/S Inowrocław. Gdynia otrzymała dwa razy w tygodniu stałe połączenie w relacji kontenerowej z portami brytyjskimi.

NA ZDJĘCIU: promowiec „Baltic Eagle” przy nabrzeżu bazy kontenerowej w Gdyni.

Anegdoty o muzykach

Zofia Arnold, słynna śpiewaczka francuska, znana i uwielbianą dla swej urody i dowcipu, odwiedziła kiedyś Woltera, który powitał ją słowami:

— Mam 84 lata i popełniłem w życiu 84 złaństwa.

Na to śpiewaczka:

— Jest pan bardzo skromny, drogi przyjacielu. Ja mam 30 lat, a popełniłam ich już kilka tysięcy.

W Operze Warszawskiej występował niedawno znakomity baryton,

Gruzin — Metaksian. Zdarzyło się pewnego wieczoru, gdy wykonywał partię starszego Geronta w „Traviacie” Verdi’ego, że nagle zapomniał słów arii „Posiwiły ojciec twój”. Artysta, nie przerywając melodii, zaczął więc improwizować: „Posiwiły ojciec twój, posiwiła matka twa, posiwiły dziadek twój, posiwiła babka twa... itd.”, wyliczając w kilka sekund rodzinę, czym tak rozbawił orkiestrę, wykonawców i publiczność, że z trudem zdłogi dokończył akt. (fil)

P o wielu festiwalach jazzowych, których w Polsce coraz więcej, krytycy narzekają na zbyt dużą dawkę pozorów awangardy kosztem dobrej, swinującej muzyki. Podobnie rzecz ma się z wydawnictwami płytowymi. Grupa Henryka Majewskiego, nierzadko po prostu „Swing Session” w interesujący sposób wypełnia tę lukę. Majewski zgromadził tutaj (debiut na Jazz Jamboree 78) znanych i doświadczonych muzyków, mających za sobą staż w różnego typu zespołach, uprawiających na przestrzeni wielu minionych lat różne gatunki jazzu. Po eksperymentach powrócił ostatecznie do tradycyjnej, bowiem wspaniałej instrumentalności, którą już od grają.

Na płycie równocześnie ukazała się kaseta magnetofonowa (znalazło się 7 utworów, w tym 5 znanych standardów oraz 2 kompozycje członków zespołu. Mam tu więc słynny „Yardbird Suite” Charlie’ego Parkera, „Sophisticated Lady” Duke’a Ellingtona i „Freeport Blues” Counta Basiego, a więc tematy wręcz obowiązkowe dla jazzmanów. W stylu muzyki epoki Swinga utrzymane są również kompozycje Henryka Majewskiego („Mutacja”) i Zbigniewa Jaremskiego („Przed wszystkim proszę nie ryczeć”). Pierwszy z nich to szybki utwór z atrakcyjnym melodycznym materiałem, po którym następuje żywiołowe solówki poszczególnych instrumentalistów, drugi zaś to ballada,

niekiedy. Przed wszystkim zaś należy odnotować dużą powagę, jaką ma ten zespół. W poprzednich wydaniach „Katalogu Popularnego” były one wyraźnie zaniedbane. Dla przykładu podam, że seria znaczków z nadrukiem z 1920 r. (G23-34) kosztuje dziś 37.000 zł (poprzednio — 20.000 zł).

Z zadowoleniem należy przyjąć zapowiedź rychłego wydania 2-tomowego „Katalogu Specjalizowanego”. Jak wynika z noty wydawcy, zakończone już zostały prace redakcyjne. Objętość „Katalogu Specjalizowanego” równa będzie czterokrotnej objętości „Katalogu Popularnego”. Zawierać on będzie szczegółowe informacje o polskich znakach pocztowych łącznie z ich odmiannymi, błędami, usterkami, próbnymi, makulaturą itp.

Należy tylko sobie życzyć, aby „Katalog Specjalizowany” szybko znalazł się na półkach kioskarskich. Chyba warto także pomyśleć o opracowaniu i wydaniu katalogów tematycznych. Istnieje bowiem na rynku księgarskim dotkliwie odczuwalny brak filatelistów. Większość z nich zbiera znaczki do zbiorów tematycznych.

KOLEKCJONER



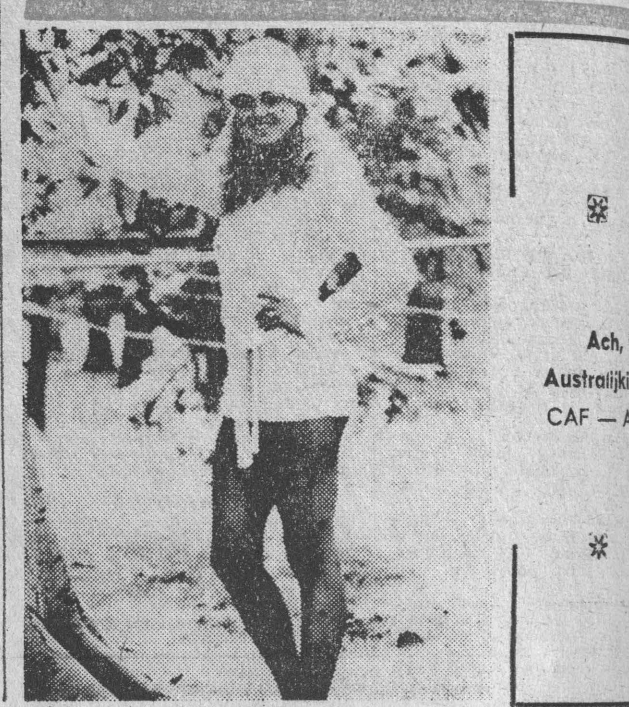
NA ZDJĘCIU: Pocztą Norwegii wydano 3 znaczki z okazji 100 rocznicy ustanowienia łączności telefonicznej na ziemi norweskiej. Fot. A. Zdrodowski

Królowa... za złotówki

Jak najbardziej autentyczna, żywa królowa, co prawda bez korony można kupić za... 200 — 300 złotych. Taka jest obecnie relacja cen na królowe pszczoły.

Sprzedawca królowych pszczoł jest posiadaczem największej na Rzeszowszczyźnie, liczącej ponad 100 pni pasiek, Eugeniusz Czysz z Bystrzycy. W ciągu roku ma on na sprzedaż ok. 100 królowych,

przede wszystkim najbardziej obecnie poszukiwanej, a także „przywroconej do łask” polskiej. Wprawdzie głównym kierunkiem specjalizacji pasieki p. Czysz jest pszczoła miodowa, którego jednym z największych klientów są polscy dostawcy indywiduów, a którego cena wynosi ok. 30 tys. zł za liter. Ale i sprzedawca królowych — jest potentatem.



Ach, ta Australi... CAF — AP

Z TEKI SZPERACZA

Wspomnienia najdroższe

Publikując parę tygodni temu krótką informację o Polskim Prywatnym Gimnazjum Koedukacyjnym im. Henryka Sienkiewicza nie zdawałem sobie sprawy, jakiej głowie struny dotykam. Liczne telefony i listy — to z jednej strony najcenniejsza nagroda, jaka może spotkać dziennikarza, z drugiej jednak także i kłopot niemały. Musiałbym tydzień na otrzymywane listy odpowiadać. A niektórzy korespondenci liczą ponadto na moją pomoc w zorganizowaniu zjazdu byłych wychowanków tej szkoły. Dziękuję za zaufanie, ale byłoby to najgorzej zorganizowany zjazd, jaki można sobie wyobrazić.

Z listów wynika, że budynek szkolny przy ul. Fabrycznej 10 należał chyba do Bryknerów (Brücknerów?), którzy opuścili Białystok w czasie wojny lub zaraz po jej zakończeniu. W szkole uczyli m.in. Zofia Gacinska, polonistka, zastępca dyrektora d/s filii przy ul. Warszawskiej (miała tytuł „przełożonej”). Władysław Kujawski, W. Doroszewski, Karol Olecki, Czesław Sadowski, Tadeusz Leja, Nina Płoszowa, W. Krzyżewski, państwo Serafinowiczowie, Jadwiga Staszewska, Helena Żylińska (późniejsza Żytkiewiczowa), Tamara Szumska, Zofia Kiersnowska, J. Lamparska, S. Stępień, A. Migulski, Michał Golański, Jan Orłowski, ks. Fryderykiewicz, Marian Stępień, p. Gosiecki (lub Gosiewski), ks. Sycewski. Nie otrzymałem, niestety, ani jednego oryginalnego dokumentu, co ułatwiłoby ustalenie lub w razie wątpliwości uściślenie nazwisk, ale zapewne uda się jeszcze dotrzeć do takich dokumentów.

Optymizm mój wynika stąd, iż byli uczniowie gimnazjum im. Sienkiewicza są do niego bardzo przywiązani. Dowodem tego np. odpis satyrycznych „Jaselek” pt. „Szkola z zezowatym zwierzciadłem”. Tekst tego spektaklu został wydrukowany, wspominał mi o nim wiele osób, ale dopiero dzięki p. Irenei Krynickiej poznałem treść. Są tam nazwiska osób, wśród nich nauczycieli. Niestety nie wiadomo, w którym roku wioskowo wystawiano, a nauczyciele prze-

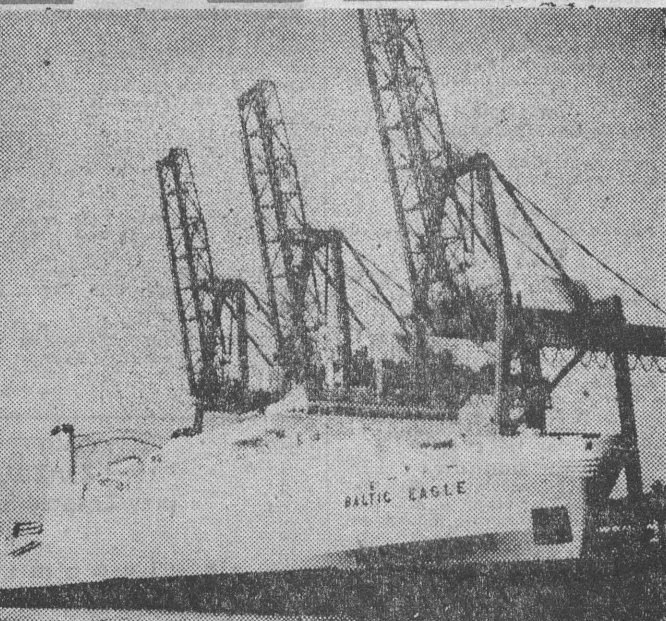
cież się zmieniali. Albumik „Szkola w zezowatym zwierzciadłem” był podobno ilustrowany fotografiami bardzo pomysłowych kulek, zaprojektowanych przez C. Sadowskiego. Jeśli któryś z posiadaczy tej książki zechce ją udostępnić, przekonam się wraz z Czytelnikami, czy tak jest istotnie.

Szkola miała internet zorganizowany — jak się zdaje jednej z b. uczennic — przez Towarzystwo Przyjaciół Wsi oraz Zgromadzenie Sióstr Misjonarek. Aktywnie działał komitet rodzicielski. Uczniowie otrzymywali — a raczej mogli kupić — codziennie śniadania. Przewodniczącą Komitetu Śniadaniowego była p. J. Onchymowska. Czesne należało opłacić bezwzględnie do 10 każdego miesiąca, można jednak było uzyskać zniżkę, zazwyczaj w wysokości 5 zł (od opłaty miesięcznej 25—40 zł w gimnazjum i 50 zł w liceum).

Nadal nie wiadomo, do kogo należał budynek przy ul. Warszawskiej. Pani Harbut zgłosiła się z moim przypuszczeniem, iż mógł on stanowić własność inż. Rygierta, dyrektora Elektrowni, ale nie ma w tej sprawie pewności.

W latach 1939—1941 w obu budynkach szkolnych istniały 10-latk. W czasie okupacji niemieckiej w budynku przy ul. Warszawskiej mieścił się „Arbeitsamt”. Jedną z b. uczennic z gorącą wspomina, że z tego budynku przyszło do niej pismo z nakazem wyjazdu na roboty do Niemiec. Niki jakoś nie wspomina o „akcji Arbeitsamt”, która miała miejsce w tym roku 1943, jak również o okolicznościach, w których budynek został spalony. Nie tracę nadziei, że i te tematy zostaną poruszone w przyszłej korespondencji lub rozmowach telefonicznych. Pomóżcie to do odtworzenia całych dziejów tej szkoły.

RYSZARD KRAŚKO



CAF — Ukłejewski

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1) brzeg, kanł, 6) dział przemysłu włókienniczego, 12) do krepowania nóg, 14) grecki Mars, 15) chusta na głowę, używana zamiast turbanu, 16) ludowy instrument muzyczny, 17) gruby powrót, 18) trzonek, tekiest, 20) trudni się spławianiem drzewa, 22) załamanie, 23) potrafi leżeć na ostrych gwoździach, 25) element dźwiękowy w powietrzu w płuci, 29) autobus turystyczny, 30) śnieć, skrawek, 31) głównego wydzielającego atramentowa zasłonka, 32) walczenie powietrza w płuci, 33) jednoducha albo pierwiastek chemiczny, 35) najniższa jednostka podziału terytorialnego w Polsce, 36) z rodziny dyniowatych, 38) kutykula, ale bardzo słowisko, 41) traba powietrzna, 42) zakręt, 45) góry z Gerlachem, 48) miejsce konferencji dotyczące uregulowania problemów związanych z likwidacją skutków II wojny światowej w Europie, 50) rybak akwarialowy, 53) clementa w rogu, 56) 162ko na statku, 57) Troja, 58) występuje w gazie ziemnym, 59) imię popularnego piłkarza radzieckiego — Blochina, 60) tytuł wyższej szlachty angielskiej, 61) w kuzni, 62) wysmażony kawałek słoniny.

Wśród Czytelników, którzy w terminie 8-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozdzielamy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z nr 88”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 88

POZIOMO: 1) brzoło, powódź, ganka, imię, świt, twórczość, szew, koło, kask, harok, ledwina, cięcie, Kiedra, próżnia, Eryta, stół, koka, red, rzeszblaz, step, orzeź, wiew, spinka, krajan. PIONOWO: 1) remiza, drzewo, ogród, obuch, patos, waska, dzieło, skoczek, estetyk, orędzie, okładka, kiepa, obłóg, zwint, beczka, dostęć, tarpan, trzda, udręka, werwa, obręb, patyk.

NAGRODY

Rozwiązaniem krzyżówki światowej jest hasło: „Nie zapomnij rady starej, w czasie świat utrzymaj miarę”. Za trafne rozwiązanie nagrody książkowe wylosowali: MAREK LEWANDOWSKI ze Smugorów Łódzkiej, woj. łódzkiej, DARIUSZ PLUDRZYŃSKI z Gieżyka, PAWEŁ NIWIŃSKI z Bielska Podlaskiego, DARIUSZ RYDZEWSKI z Zap. AGNIESZKA SŁOMCZYŃSKA z Łomży, GRZEGORZ STASKEWICZ z Augustowa oraz IWONA FIEDOROWICZ, ANDRZEJ GOŁĘBOWSKI, JANUSZ JAWORSKI i STANISŁAW STĘPIEN — wszyscy z Białegostoku.

Gratulujemy. Książki prześlemy pocztą.

